POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 29-go maja 1943r.*** | **Rok V. Nr. 21**

POTĘGA IMPERIUM

Potęga brytyjskiego Imperium nie wyrosła z niczego. Dobrobyt i wyrobienie polityczne brytyjskich obywateli nie jest dziełem przypadku. Demokracja Wielkiej Brytanii nie jest słowem bez pokrycia, hasłem kryjącym nicość i bezideowość. Po to jednak, by dojść przyczyn dzisiejszego stanu rzeczy, sięgnąć trzeba głęboko w życie brytyjskie, odsłonić jego tajemnice, jego szczegóły, rzeczy drobne, z których dopiero tworzą się rzeczy wielkie. To rzadko bywało dostępne dla cudzoziemców. To zresztą rzadko tych cudzoziemców interesowało. Wojna jednak zdemokratyzowała nawet brytyjską tradycję — do jej trudno dawniej dostępnych ołtarzy może zbliżyć się nawet niewierny. Gdy się zbliży, znajduje nagle w tym nieznanym sobie dotychczas zjawisku coś co go pociąga, coś co go zachwyca, coś co pozwala mu zrozumieć. Potęga brytyjskiego sojusznika nagle okazuje mu swoje tło. I okazuje się, że jest ono niezwykle proste i, zdaje się, łatwo osiągalne.

Przed kilkoma dniami, na skrajnym północnym cyplu Anglii, w mieście noszącym widome ślady walk z odwiecznym szkockim przeciwnikiem, w mieście szczycącym się pięknością swej katedry, której budowę rozpoczęto w roku 995-ym, a która przetrwała do dziś w stanie doskonałym, w mieście o starym i czcigodnie w historii nauki brytyjskiej zapisanym uniwersytecie — odbywało się zebranie. Takie jak wiele innych: z "chairmanem," porządkiem dziennym, jednym referatem, dyskusją, wnioskami. Różnica i niezwykłość jednak tego zebrania leżała w składzie jego uczestników. Przewodniczący miał lat siedemnaście, uczestnicy rok, dwa mniej lub więcej. Lecz to jeszcze nie wszystko. Ci chłopcy nie byli słuchaczami miejscowego uniwersytetu, nie byli nawet uczniami miejscowych szkół. Byli ubrani czysto i schludnie, skromnie, ale ze smakiem. Jedynie brudne, czarne niemal ręce większości zdradzały miejsce ich pracy. Ci chłopcy przyszli na zebranie z kopalni. Ci chłopcy to brytyjscy górnicy, pracownicy doków okrętowych, nieliczni z nich to — urzędnicy w miejscowych biurach. Ci chłopcy to proletariat miejski.

Zebranie było długie i ciekawe. Uczestniczyło w nim czterdziestu delegatów klubów rozsianych po całym hrabstwie, klubów liczących w sumie kilka tysięcy członków. Kluby te to *Boys Club Association*. Historia ich prosta i jakże dla kraju, w którym teraz żyjemy charakterystyczna. Przed kilkudziesięciu laty ktoś wpadł na myśl stworzenia klubów młodzieżowych na wzór klubów "dorosłych." Inicjatywa chwyciła. Młodzież brytyjska tłumnie poczęła się garnąć do nowopowstałej organizacji. Projektodawca finansował młody ruch. Ale wyznawał zasadę, że trzeba pozostawić chłopcom całkowitą swobodę, dać im zupełny samorząd nie sprzeciwiać się projektom, choćby nawet były z góry skazane na niepowodzenie. Poprzez doświadczenie własne najlepiej człowiek się uczy — to była dewiza klubów. W cieniu stał dorosły opiekun, który w wypadkach rażących wkraczał z radą, propozycją, czy przyjacielską uwagą. Tak samo jak chłopcy musiał prosić o głos, tak samo jak oni czekać swej kolejki. Był ich starszym przyjacielem, nigdy pilnującym belfrem.

Po kilku latach, gdy kluby się przyjęły, gdy idea ich okazała się pożyteczną, rząd zajął się nimi. Ale nie na kontynentalny sposób. Rząd rozpoczął finansowanie nowego ruchu. Dzisiaj niemal trzy czwarte budżetu *Boys Club Association* idzie ze skarbu państwa — i państwo to w zamian nic nie żąda: żadnej kontroli, żadnych komisarzy, żadnej lojalności. Rząd rozumie, że te kluby wychowywują naprawdę dojrzałych obywateli. To mu wystarcza. Nie żąda koniunkturalnych stanowisk, hołdowniczych depesz, "pro-rządowego nastawienia." Chce tylko pracy wychowawczej dla przyszłych pokoleń, które mają rządzić Imperium. Osiąga to.

Obrady są poważne i ciekawe. Poszczególni delegaci zdają sprawozdania ze swych prac w terenie. Klub zajmuje się ośmioma godzinami rozrywki w myśl zasady: osiem godzin snu, osiem — pracy, osiem — zabawy. A więc sprawozdania pełne są opisów meczów, zawodów, urządzanych imprez. Nie brak w nich też nut szczerego patriotyzmu — "*Wings for Victory Week*" w pewnym klubie liczącym kilkudziesięciu członków, przy wytkniętym celu stu dwudziestu funtów, już we czwartek przekroczył kwotę funtów trzystu . . .

Inny znowu delegat opowiadał po prostu, jak to klub jego zakupił meble dla swego lokalu tylko ze składek członkowskich, jak wynajął wielki hall na zebrania, jak wysyłał paczki jeńcom, jak pomagał biednym, jak zgromadził pokaźną biblioteczkę . . . To są chłopcy, którzy ukończyli tylko szkołę powszechną, to są chłopcy, których rodzice rzadko w życiu wyjeżdżali poza swe miasteczko rodzinne, to są chłopcy, którzy w chwili wybuchu wojny mieli lat czternaście najwyżej. A więc prawie że wojenne pokolenie, napewno zaś pokolenie — na pokój. O tym trzeba pamiętać.

Obrady są spokojne, rzeczowe. Nikt się nie śmieje, gdy ktoś powie głupstwo, nikt nie drwi z młodszych. Przewodniczący ma posłuch bezwzględny. Nie brak głosów krytycznych pod adresem powolności demokracji zachodnich, niezdecydowanego stanowiska rządu Chamberlaina, zarzutów braku inicjatywy, zarzutów wiary w złudzenia np., że są "dobrzy Niemcy." Klub Chłopców brytyjskich jest Klubem dojrzałych i świadomych obywateli.

Znika depresja, ucieka w przestrzeń niewiara, chowa się głęboko tęsknota, i człowiek wychodzi z zebrania odurzony, pełen już nie nadziei, ale pewności, nie radości na przyszłość, ale radości na teraz. Bo przecież ta młodzież musi zwyciężyć, bo przecież jej myśli i jej praca jest poważna, głęboka, odpowiedzialna, pełna poświęcenia i pełna zainteresowania. Grupy dyskusyjne w łonie klubów są wzorem takich grup dla wielu dorosłych ludzi.

Jakże by dobrze było, żeby pomysł tych klubów, by ich atmosferę, ich wartości prawdziwe żywcem przenieść do Polski, by już teraz, zaraz, od razu uczyć się na ich wzorach, jak podchodzić do młodzieży polskiej. Niech nam to nie schodzi z pamięci, że ta młodzież się dziś nie uczy, że pracuje z musu dla Niemców, nie zna legalnej władzy, władzy, której należy się nie tylko szacunek, ale przede wszystkim pomoc w wykonywaniu jej obowiązków. Ta pomoc będzie musiała głównie przyjść od pokolenia najmłodszego. Obyśmy mu mogli oddać, przekazać Polskę wielką i wolną, Polskę, która mieć będzie zaczątki owego tła potęgi, które lata zbudowały dla Wielkiej Brytanii.

Chłopcy na owym zebraniu po raz pierwszy słyszeli o Polsce. Niektórzy wprawdzie wiedzieli, że istnieje, wiedzieli, że była kiedyś potężna, że sama jedna podjęła wojnę. Ale takich było mało. Większość mówiła wprost, że polski mundur widzi po raz pierwszy, że słyszy o naszym kraju ze zdziwieniem, że ciekawa jest usłyszeć więcej, że chciałaby coś o tym dalekim kraju przeczytać. Pytania dotyczyły Gdańska, jego sytuacji prawnej, systemu szkolnictwa polskiego, organizacji młodzieżowych, partii politycznych, ludności, religii. To co usłyszeli notowali skrzętnie, po to, by powtórzyć swym klubowym kolegom u siebie. Nieliczne broszury o naszym kraju i naszym losie rozchwytano natychmiast.

Wielu pytało o naszych żołnierzy, prosząc o adresy samotnych, ofiarowując swe domy dla nich na urlopy i swój czas — dla rozrywki. Nie było w tym litości, czy nieodczuwanego prawdziwie współczucia. Po prostu chcieli pomóc. Chcą jeszcze ciągle — trzeba im to tylko ułatwić.

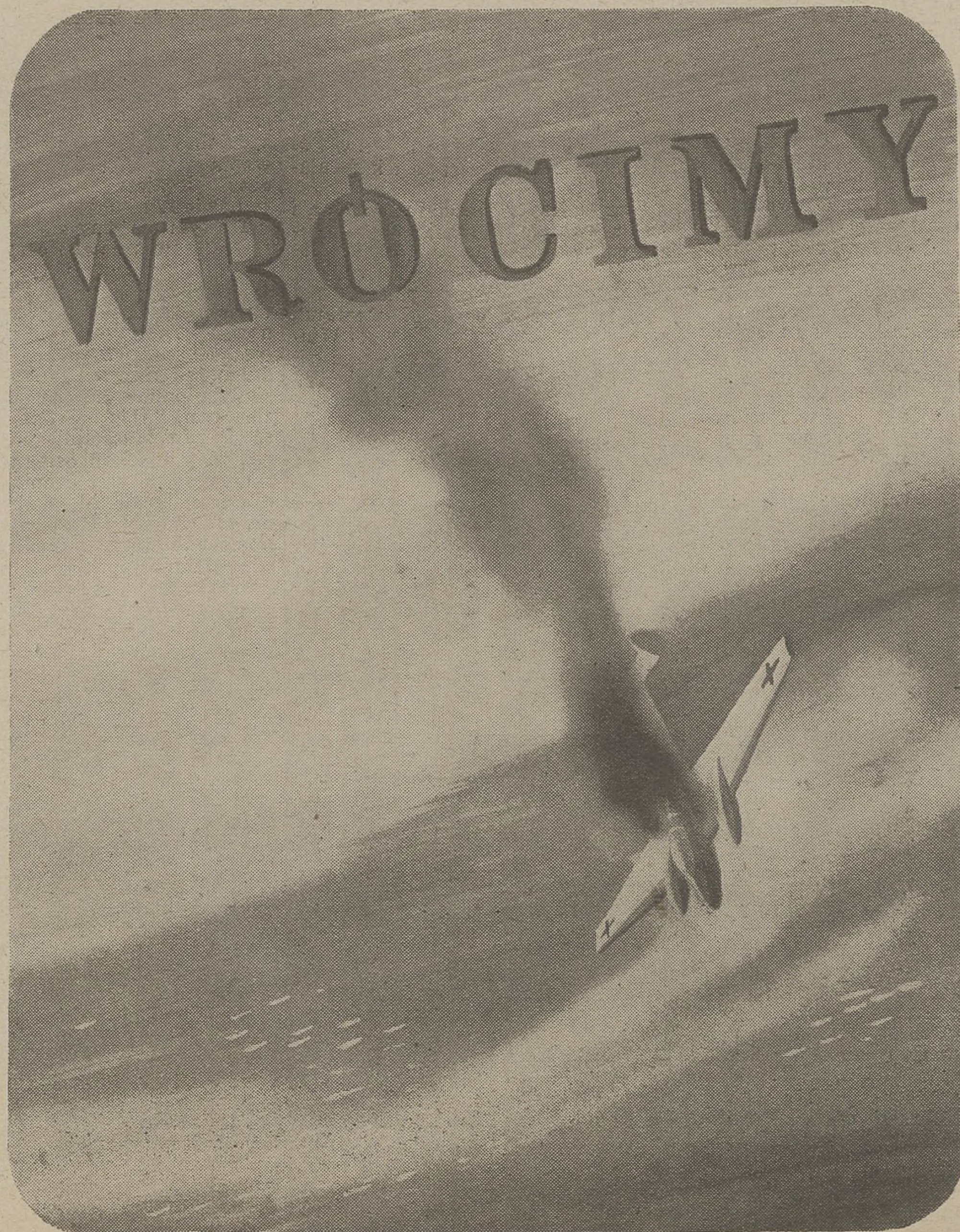
Poprzez twarze i myśli tych chłopców cudzoziemiec dostrzec może ukrytą tajemnicę potęgi brytyjskiego Imperium. Poprzez ich klubowe obrady zrozumieć może przywiązanie do demokracji i — od lat najmłodszych zdobywane — wyrobienie parlamentarne. Patrząc na tych chłopców, cudzoziemiec zaczyna rozumieć spokój anglo-saski, opanowanie, pozorny chłód. Poprzez nich dostrzega właściwą drogę, jaką należy, jaką trzeba zastosować na kontynencie. W nich wreszcie widzi przyszłość Imperium, Imperium zwycięskiego — tym samym widzi poprzez nich przyszłość całego świata.

Polak powinien widzieć przyszłość Polski. W chwilach tak niezmiernie trudnych, tak brzemiennych w wypadki, tak coraz bliższych ostatecznej decyzji, najmłodsze myślące pokolenie naszych gospodarzy powinno być nam najbliższe. Nie przekonamy ludzi starych, nie przekonamy nawet ludzi młodych, którzy swoje pojęcia ukształtowali na podobieństwo ostatnich lat dwudziestu, na podobieństwo Chamberlaina i Brianda, Stresemana i Trockiego. Te kategorie pojęć muszą istnieć i będą istniały. By im dać przeciwwagę, by ideałom Brianda przeciwstawić myśli równie czyste i równie szlachetne, lecz bardziej konkretne, bardziej — wszechstronne, należy chłopcom z owych klubów mówić o Polsce. Tak jest, właśnie o niej. Polska bowiem jest krajem, który doznał tylu goryczy i krzywd, który tak ciężko i tak często bezskutecznie krwawił się o wolność i o sprawiedliwość swoją i innych, że powiedzenie im prawdy o nas da im chyba najlepszy obraz tego, co winno być i co chyba jest celem tej wojny. Obraz wolności w Europie. Nie tylko tu, na wyspie, nie tylko w Imperium, lecz także tam daleko od nich, na ziemiach dla nich obcych, nieznanych, o których prawie nie słyszeli. Na ziemiach, które poprzez nas stać im się powinny nagle drogie i bliskie, poprzez naszą ku nim przyjaźń, naszą wobec nich szczerość i naszą wiarę w ich słowo. To słowo, które po tej wojnie będzie podstawą naszej pełnej, niczym nieograniczonej wolności w całkowicie odbudowanej Polsce.

Ci chłopcy to wdzięczny teren. Ci chłopcy raz przekonani nie zawiodą pokładanych w nich nadziei. Trzeba ich tylko przekonać, trzeba im o nas mówić, trzeba patrzeć w ich stronę, bo stanowią świeży narybek demokracji brytyjskiej, bo oni, pospołu z chłopcami polskimi budować będą świat nowy, lepszy, jaśniejszy. Świat, który na podobieństwo ich klubów dzisiejszych potrafi zmienić skład powietrza do oddychania na codzień, który da nagle poczucie radości życia, energię, da życzliwość dla innych, spokój i zadowolenie własne. Świat, który da, nam Polakom, wolny i demokratyczny kraj, pewny jutra i pewny pokoju. Na tej pewności oparci będą dzisiejsi polscy chłopcy budować Polskę na podobieństwo brytyjskiego, demokratycznego Imperium.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

rys. JERZY FACZYŃSKI



Szkic sytuacyjny

ATAK LOTNICZY NA WŁOCHY

Pisma całego świata zastanawiają się w którym kierunku pójdzie uderzenie sojusznicze z bazy afrykańskiej. Na razie idzie ono na Włochy. Mamy dowody, coraz liczniejsze, że najbliższym zadaniem aliantów jest "wybombardowanie Włoch z wojny," jak te działania pozwoliliśmy sobie nazwać w poprzednim rozbiorze.

Uderzenia R.A.F.'u oraz maszyn amerykańskich — wśród nich "latających fortec," używanych i tutaj z powodzeniem do ataków dziennych — są potężne. Skierowane przeciwko wyspom /Sardynia, Sycylia, Pantellaria/ oraz przeciwko lądowi stałemu, stanowią one groźny przedsmak pełnej ofensywy na ląd stały. Jest rzeczą wcale jasną, że marszałek lotnictwa Tedder, który już nieraz kładł swój "dywan śmierci," i teraz postanowił pokazać, co umie.

Bitwa jaka się odbywa obecnie, przypomina w głównej swojej osnowie i zasadzie — *Battle of Britain*. Ta *Battle of Italy* ma podobne cele jak *Battle of Britain*, której koleje stoją nam jeszcze żywo w pamięci. Niemcy chcieli przepędzić R.A.F. z nieba nad Anglią, ażeby utorować drogę dla przyszłej inwazji, względnie by rzucić cały ciężar lotnictwa bombardującego, które działając już teraz bezkarnie — zmusiłoby W. Brytanię do kapitulacji i pokoju. Teraz R.A.F. do spółki z lotnictwem U.S.A. stara się o złamanie "Luftwaffe" i lotnictwa włoskiego, o zniszczenie wroga w powietrzu, na lotniskach, celem przejścia do swobodnego bombardowania za dnia wybranych celów.

Battle of Italy zapowiada się — tak by się to zdawało — na dłuższą operację. Trzeba będzie wielu wysiłków, zanim przepędzi się "Luftwaffe," która dopiero teraz wyszła ze swoich kryjówek i broni Sycylii. Wprawdzie pierwsze uderzenia sojusznicze są niezwykle pomyślne — 113 maszyn wroga poszło pod nóż — ale trzeba liczyć się z bombardowaniem wielu celów na wyspach /tamy na Sardynii, porty tej wyspy, porty Sycylii, lotniska tej wyspy i t.d./, zanim będzie się można dobrać głębiej.

Nie wiemy, jakie są rezerwy niemieckiego lotnictwa na wyspach włoskich oraz na lądzie stałym. Nie są one jednak napewno słabe. Lotnictwo włoskie jest gorszej klasy, ilość maszyn nie może być wielka. Można by zatem przyjąć, że po niezbyt długim okresie bombardowania i niszczenia lotnictwa wroga na ziemi i w powietrzu, znajdziemy się w fazie, kiedy Włochy będą niebezpiecznie odkryte dla ataku i kiedy możliwości załamania się Włoch zarysują się realnie, chociaż nie wiadomo jeszcze czy blisko.

Jakie są bowiem możliwości dla Włoch? *Wyjście z wojny jest trudniejsze dla nich — niż było wejście. Spółkę z Rzeszą łatwiej zawrzeć, aniżeli się z niej wycofać. Usunięcie Mussoliniego i jego kliki przez jakiś bunt wewnątrz partii, wydaje się rzeczą mało prawdopodobną. Zamach stanu mógłby zatem wyjść ze strony armii włoskiej, któraby oświadczyła się za królem a przeciwko Mussoliniemu; musiałaby ona jednak przyjąć od razu ryzyko walki — z Niemcami.*

Oczywiście walka taka byłaby czymś *mocno nierównym*, nie tylko dlatego, że armia włoska jest dzisiaj osłabiona i że nie posiada uzbrojenia "Wehrmachtu," ale także dlatego, że byłaby to walka *z wrogiem siedzącym wszędzie* /założywszy, że armia włoska uznałaby Niemców za wrogów/. Szanse wyparcia Niemców z Włoch są słabe, pełna okupacja Włoch przez Niemców prawie pewna, chociaż nie znaczy to, ażeby nie zakończyło się to wejściem sojuszników i wyparciem z kolei Niemców.

To jest jedna możliwość. Druga polega na takim cichym czy głośniejszym zamachu stanu, w którym Mussolini odszedłszy na bok, zostawiłby koronie możliwości rokowań.

Na razie nie widać trzeciej. Losy Włoch są niepewne, a każdy dzień pogłębia niedolę tego kraju, który tak niepotrzebnie dla siebie wszedł do wojny. Wykazuje on tragiczną dolę państwa, które nie miało sił ani zasobów na — faszyzm, w ogóle na ruch totalny. *Pozwolić sobie na to mogą — państwa bardzo wielkie, mocarstwa prawdziwe, imperia o zaborczych zamiarach. Marzenie rzymskie okazało się zabójcze dla organizmu Włoch dzisiejszych.*

R.A.F. NAD RZESZĄ

Bombardowania Rzeszy wkraczają w fazę bardzo dla Niemców niepokojącą. *Przerwanie zapór wodnych w dolinach Eder i Sorpe jest dokonaniem istotnie wielkiej klasy.* Przekonuje to ludność Rzeszy — wbrew wszelkim opowieściom własnej propagandy — że *R.A.F. bombarduje bardzo precyzyjnie*, że jest siłą nielada, skoro może sobie pozwolić na wybieranie celów tak szczegółowych i tak silnie bronionych, że Anglia wie *o rozmaitych czułych punktach gospodarki i przemysłu wojennego Niemiec* i że — nie ma spokojnego kąta na obszarze Reichu przed nalotami R.A.F.'u.

Uderzenie w zapory wodne przyniosło skutki natury psychologicznej napewno poważne. Straty musiały być wielkie, skoro prasa niemiecka i radio wygraża tak ostro odpłaceniem się pięknym za nadobne. Radio zaś niemieckie głosi, że wysyła się olbrzymie ilości maszyn nad Londyn, aby obrócić stolicę Anglii w proch i pył. Panuje tu rzekomo straszliwe zdenerwowanie, tłumy burzą się, dochodzi do niebezpiecznych rozruchów . . . Znamy tę piosenkę. Ale ludność niemiecka może i trochę wierzy tym bajkom; pociesza się, że może tym Anglikom też nie jest najlepiej. Gdy i ta pociecha zawali się — co się zapewne stanie — trzeba będzie sklecić jakieś nowe kłamstwo.

"*Oblężenie lotnicze Rzeszy*" jak obecne działania R.A.F.'u i lotnictwa U.S.A. nazywają niektóre pisma jest zadaniem ambitnym, trudnym, kosztownym. Wydaje się, że najbliższe tygodnie zbiegną właśnie na tych lotniczych uderzeniach. Anglicy chcą się przekonać jak przeciwnik będzie się czuł na ringu po kilku takich rundach. Podsumują potem swój rachunek i dojdą do pewnych wniosków.

UDERZENIE NA TURCJĘ?

Sprawozdawca "*Timesa*" ze Stambułu w depeszy z dnia 21-ego maja zaznacza, że w Turcji znowu odrodziły się obawy, że Hitler, którego prestiż ucierpiał srodze po klęskach afrykańskich, zechce próbować postawienia tego prestiżu na nogi *przez jakiś teatralny gest.* A więc mógłby spróbować uderzyć na Turcję; ażeby wprowadzić zamieszanie w ogólną kalkulację, *przenieść wojnę na Bliski Wschód*, pokrzyżować rachuby.

Takie możliwości bynajmniej nie zostały jeszcze przekreślone. Pewne rzeczy i fakty przemawiałyby za tego rodzaju próbą. Koncentracje wojsk niemieckich w Bułgarii i Grecji — tam szczególnie "Luftwaffe" jest silna — wskazywałyby, że uderzenie niemieckie na Turcję mogłoby stanowić właśnie tę niespodziankę, która Hitlerowi jest poniekąd potrzebna. Zaskoczenie przyniosło strategii niemieckiej wiele korzyści — może zatem pokusić się o jeszcze jedną, *rozpaczliwą próbę.* Próba taka mogłaby mieć na względzie jakieś działania przez Turcję ku Zatoce Perskiej i ku Kaukazowi, celem obejścia zapory kaukaskiej, dobrania się do ropy niejako od tyłu. Nie jest to wykluczone, ale nie wiemy /bo wiedzieć nie możemy/, *o ile wykonalne.*

FRONT WSCHODNI KONIECZNOŚCIĄ

Podobne poruszenie jest *możliwością*, podczas gdy front wschodni jest, co tu mówić, *koniecznością*. Na tym froncie Hitler nie może sobie pozwolić na zastój. Jeżeli nie ruszy do początku czerwca, to Sowiety przejmą inicjatywę i spróbują ataku. Wiadomo, że ten kto uderza pierwszy, będzie miał przewagę — szczególnie w Rosji.

Wiele wskazuje na to, że armia niemiecka ruszy i to *na północy*. Kierunki bombardowania sowieckiego /Ryga, Królewiec, Bałtyk, dworzec Praga w Warszawie/, wszystko to dowodziłoby, że koncentracje niemieckie w tych punktach oraz transporty na północ przez Balticum są duże. Pewne koła angielskie i pewne pisma sądzą, że uderzenie niemieckie może być w pierwszej swojej fazie *bardzo silne*, niemal tak silne, jak w r. 1941.

Nie wiemy, czy wnioski takie są słuszne. W r. ub. uderzenie niemieckie zdradzało już pewne osłabienie. Przedtem Niemcy wykrwawili się niebywale na zdobywaniu Sebastopola. Czy w tym roku uderzenie niemieckie nie będzie właśnie wolniejsze, *ostrożniejsze*, bardziej mylące co do istotnego kierunku — jednym słowem bardziej polegające *na przebiegłościach taktyki*, aniżeli na sile uderzenia, przekonamy się. Raczej jednak należało by wnioskować, że "Wehrmacht" będzie działał ostrożniej, oszczędniej, że nie będzie szafować ani ludźmi, ani sprzętem.

NARADY W WASZYNGTONIE

Rozmowy Roosevelt — Churchill w Waszyngtonie trwają dalej. Spodziewać się należy osiągnięcia wyników w sprawach t.zw. *strategii globalnej*, przy czym zagadnienie Dalekiego Wschodu będzie napewno silniej postawione. Mowa Churchilla w Kongresie dowodziła, że *W. Brytania uznaje konieczność podjęcia ostrzejszej walki z Japonią i że słusznie należy się obawiać zbytniego umocnienia się wroga.* Tego rodzaju fakt wpłynąłby na niebywałe wprost przedłużenie się wojny na Dalekim Wschodzie.

Jeżeli chodzi o atak na Japonię, to udział Rosji jest bardzo doniosłym czynnikiem. Czy Japonia uderzy na Rosję, jak groziło niedawno radio japońskie; czy Rosja odda swoje lotniska wokoło Władywostoku dla ataku na Japonię? Nie wiemy.

Zagadnienie Japonii zajmie więcej miejsca w naradach w Białym Domu, aniżeli to zrazu przypuszczano.

Londyn, dnia 23-ego maja 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

17 *m a j a : Dziewiętnaście bombowców brytyjskich typu "Lancaster" pod dowództwem Wing Commander G. P. Gibson rozerwało minami tamy na rzekach Moehne i Eder, powodując zalew olbrzymich okręgów przemysłowych Ruhry i Westfalii.*

—W nocy z 16/17 dwie polskie załogi "kłusownicze" działały nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Obydwie załogi powróciły.

—W ciągu dnia polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie oraz osłaniały wyprawę bombową. Z obydwóch tych zadań wszyscy piloci polscy powrócili.

—Głównodowodzący Brytyjskich Sił Powietrznych wręczył osobiście dowódcy polskich oddziałów spadochronowych sztandar pamiątkowy, jako dar jednej z brytyjskich dywizyj powietrznych w dowód przyjaźni i braterstwa broni.

18 *m a j a : W Stanach Zjednoczonych otwarto konferencję, której tematem są zagadnienia wyżywienia i rolnictwa, celem zapewnienia Rooseveltowskiej "wolności od nędzy i niedostatku." W konferencji biorą udział przedstawiciele 43 Narodów Zjednoczonych i neutralnych.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Ogłoszono, że liczba żołnierzy niemieckich i włoskich wziętych do niewoli w Tunisie w czasie ostatniego tygodnia walk wynosi ćwierć miliona.

19 *m a j a : Polskie załogi "kłusownicze" dokonały wypadu nad tereny okupowane przez nieprzyjaciela. Ostrzelany został pociąg i lokomotywa.*

20 *m a j a : Ogłoszono uchwałę powziętą w Kraju w odpowiedzi na życzenia rządów alianckich, przesłane pod adresem Narodu Polskiego z okazji 3 Maja. Uchwała mówi: "Pełnomocnik Rządu na Kraj i Krajowa Reprezentacja Polityczna zapewniają wszystkich Aliantów, że Polska Walcząca wytrwa na drodze, na którą wkroczyła dnia 1 września 1939 roku. Nigdy nie ustaniemy w walce o wyzwolenie całej Rzeczypospolitej oraz w obronie zasad wolności Narodów."*

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszyscy polscy piloci powrócili.

21 *m a j a : Ogłoszono, że w pierwszym kwartale b.r. polskie załogi "kłusownicze" działały ponad terenem Włoch i Tunisu z baz na Malcie.*

22 *m a j a : W nocy z 21/22 polskie załogi "kłusownicze" działały nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszystkie załogi powróciły.*

—W Moskwie ogłoszono decyzję rozwiązania Kominternu.

23 *m a j a : W nocy z 22/23 polskie załogi "kłusownicze" przeprowadzały działania, w czasie których zniszczono jedną lokomotywę. Wszystkie załogi powróciły.*

24 *m a j a : W nocy z 23/24 polskie lotnictwo brało udział w najcięższym z dotychczasowych nalotów przeciw Niemcom — na Dortmund. Jedna załoga polska nie powróciła.*

WIADOMOŚCI Z BAŁTYKU

Korespondent "*Daily Telegraph*" donosi ze Sztokholmu, że bałtycka flota Związku Sowieckiego dokonała masowej próby przedarcia się na otwarte morze. W operacji tej brały udział ze strony sowieckiej okręty podwodne, kanonierki, kontrtorpedowce i ścigacze, a ze strony niemieckiej lekkie jednostki strażnicze, wsparte przez ogień baterii nadbrzeżnych i samoloty. Po interwencji silnych zespołów lotnictwa sowieckiego, udało się sowieckim okrętom wyjść na morze.

Korespondencja twierdzi, że Rosjanie przezimowali większość swych okrętów lekkich i podwodnych bądź w Kronsztacie, bądź w Leningradzie na Newie, starając się je ukryć przed ogniem artyleryjskim i nalotami nieprzyjaciela. Poza tym zmontowali na Uralu większą ilość okrętów podwodnych, które sprowadzili koleją do portów północnych. Korespondencja podaje liczbę 100 okrętów podwodnych, co wydaje się przesadzone. Jednak flota podwodna Związku Sowieckiego przedstawiała i przed wojną bardzo poważną pozycję.

Podobno Finowie przeciągnęli zagrodę przeciwpodwodną od wyspy Hochland do brzegów Estonii. Zagroda ta jednak została sforsowana przez sowieckie okręty podwodne, które już zatopiły kilka statków niemieckich na Bałtyku. To zmusiło Niemców do ponownego zastosowania systemu konwojów, wymagającego, jak wiadomo, dużej ilości okrętów eskorty.

Bardzo ciekawe są dane w korespondencji o stanie istotnym bałtyckiej floty Z.S.R.R. Przedstawiają się one jak następuje:

Półzatopiony w Kronsztacie pancernik "*Marat*," którego artyleria może jednak wspierać ogień fortów twierdzy /większa część dział zdolna do użytku/. Drugi pancernik /"*Oktiabrskaja Rewolucja*"/ poważnie uszkodzony, ale również z częścią artylerii w stanie czynnym. Uszkodzone krążowniki "*Kirow*" i "*Maxim Gorkij*." Niewykończony trzeci krążownik tegoż typu /7,500 ton/. Około 20 kontrtorpedowców i innych okrętów lekkich, zatopionych na morzu, głównie w walkach o Hango i Tallin.

Tu następuje sensacja. Okazuje się, że w roku 1940, w czerwcu, Niemcy przekazały Rosji czwarty krążownik ciężki klasy "*Hipper*" /10,000 ton/, budowany pod nazwą "*Lützow*." Tym się też zapewne tłumaczy tajemnicze przezwanie niemieckiego pancernika "*Deutschland*" na "*Lützow*" w tym właśnie okresie.

Krążownik w stanie niewykończonym i bez uzbrojenia przekazany został Rosji w zamian za kilka okrętów podwodnych, których Niemcy w tym czasie bardzo potrzebowali dla wzmocnienia blokady Anglii.

Podobno Niemcy wbrew zobowiązaniom, nie dostarczyli na krążownik brakujących części mechanizmów i wyposażenia. Co do uzbrojenia, to miało być ono dostarczone z arsenałów sowieckich. Dodać można, że krążowniki klasy "*Hipper*" posiadały jako uzbrojenie główne 8 dział 203 m/m, podczas gdy w flocie sowieckiej kaliber ten nie istniał. Krążowniki typu "*Kirow*" miały 9 dział 180 m/m.

Z artykułu wypływa, że niemieckie baterie nadbrzeżne pod Oranienbaumem nie zdołały powstrzymać wiosennego wyjścia lekkich okrętów sowieckich na pełne morze, ale że flota sowiecka nie posiada w tej chwili zdolnych do boju większych jednostek pływających.

Tak czy inaczej, wiosenna akcja bojowa na Bałtyku znów się rozpoczęła. Odciągnie ona część sił niemieckich z Morza Północnego. Jaki będzie rezultat, oczywiście przewidzieć w tej chwili trudno.

ATTU

W chwili gdy piszemy te słowa — desantowe oddziały U.S.A. wykańczają Japończyków na wyspie Attu z grupy Aleutów, na Północnym Pacyfiku.

Kilka wysp z tego archipelagu, położonego w zasięgu lotniczym w stosunku do Japonii, zostało zajętych w roku ubiegłym przez desanty japońskie. W ten sposób chciano zapewne oddalić możliwość bombardowania Północnej Japonii, a równocześnie stworzyć sobie bazę przeciw Alasce. Obecnie karta się odwróciła i Amerykanie rozpoczęli przeciwdziałanie.

Akcja bojowa na tych wodach nie jest łatwa. Mgły, sztormy i liczne rafy utrudniają wielce nawigację. Mimo to okręty amerykańskie, wspomagane przez lotnictwo, zdołały desant wysadzić pomyślnie, zadając nieprzyjacielowi duże straty.

Wojna na morzu

TO NIE DUNKIERKA

Prasa i radio niemieckie, ukrywając prawdziwe rozmiary klęski w Tunisie, twierdziły tuż przed kapitulacją:

"Brytyjczycy uważają, że Tunis jest rewanżem za Dunkierkę. Tymczasem w Dunkierce wojska angielskie, porzucając całą broń i sprzymierzeńców, uciekły pod osłoną nocy i mgły z ciężkimi stratami. W Tunisie naodwrót: Niemcy i Włosi, ramię przy ramieniu, walczyć będą do ostatniego pocisku. Z tego pełnego poświęcenia braterstwa broni, wyłoni się ostateczne zwycięstwo."

Jak kulą w płot! — powiada polskie przysłowie. Autor niemiecki ma rację, choć niezupełnie w pożądanym przez siebie sensie. Bo w Dunkierce wojska brytyjskie straciły wprawdzie cały ciężki sprzęt, ale — używając słów Sienkiewicza — "ducha przewieziono na drugą stronę." Straty brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego w czasie całej kampanii belgijskiej, licząc zabitych, rannych i jeńców, nie przekroczyły 45,000 ludzi, 335,000 przewieziono do Anglii. Przewieziono też z Francji około 50,000 wojsk sprzymierzonych, w tym 17,500 Polaków.

W Tunisie było odwrotnie — Niemcy, z początku usiłowali znów poświęcić Włochów. Gdy jednak Marynarka Brytyjska przecięła im komunikacje, a wojska sprzymierzone natarły mocniej — bynajmniej nie walczyli "do ostatniego pocisku, w pełnym poświęcenia braterstwie broni." Poddali się masowo, wydając w ręce sojuszników większość sprzętu i zasobów. I tylko niewielka ilość zdołała przedostać się na Sycylię.

Straty obydwóch brytyjskich armii — I i VIII — w ciągu ostatniego miesiąca, nie przekroczyły ogółem 11,040 ludzi. Jeśli nawet dodać straty amerykańskie i francuskie, to będą one niewielkie w porównaniu z rezultatem: dwustutysięczna wyborowa armia zniszczona całkowicie, kolosalna zdobycz, no i — co najważniejsze — panowanie na Morzu Śródziemnym zabezpieczone ostatecznie.

Ale to nie wszystko. Agencja niemiecka "Transocean" podaje, że wszystkie powodzenia brytyjskie w Północnej Afryce wynikają nie z działań sił lądowych, ale z panowania floty brytyjskiej na morzu, oraz lotnictwa sprzymierzonego w powietrzu.

I z tym możemy się zgodzić — ba — już nawet dawno o tym wspominaliśmy. Pisały o tym nie tylko dzienniki brytyjskie, amerykańskie i polskie — jeszcze przed laty, ale nawet . . . polskie biuletyny tajne, wychodzące w obozach jeńców. Tak długo, jak Marynarka Królewska posiadała panowanie na Morzu Śródziemnym, "Oś" — mimo gromkich zapowiedzi Mussoliniego i Hitlera — nie potrafiła tam osiągnąć żadnego decydującego powodzenia. Bo powodzenie na lądzie osiąga się — właśnie na brzegach wód wewnętrznych — przez panowanie na morzu, a przy odpowiednim poparciu z powietrza.

Panowanie na morzu pozwoliło Sprzymierzonym uratować położenie w Egipcie, nieraz bardzo poważne, wzmocnić odpowiednio armię Nilu, i przejść do działań zaczepnych — dwustronnie. A dziś to samo panowanie na morzu ułatwi im inwazję kontynentu europejskiego.

Nie dawno jeden z wybitniejszych publicystów brytyjskich pisał:

"Zmienność losów kampanii afrykańskiej była całkowicie zależna od panowania na morzu. Każde powodzenie czy niepowodzenie na lądzie było odzwierciadleniem działań naszych okrętów na tych ciasnych wodach."

Stąd lekcja, że właśnie na morzu wewnętrznym — a Bałtyk jest jakby Morzem Śródziemnym północy—marynarka wojenna jest, wraz z lotnictwem, decydującym czynnikiem. Bez niej nie ma powodzenia na lądzie, jak to Niemcy na własnej skórze doświadczyli.

Polskie okręty wojenne i polskie myśliwce brały udział w operacjach tunetańskich. Doświadczenie tu zdobyte przyda się im niezawodnie w chwili gdy rozpocznie się rozgrywka o Polskę.

A teraz kilka cyfr: W ciągu półrocznych działań na wodach Śródziemnego morza, a w szczególności między Afryką Północną a Włochami, zatopiono 421 statków transportowych "Osi" /w tym około 200 zatopiły sprzymierzone okręty podwodne/, uszkodzono zaś ponad drugie tyle. Zatopiono też 36 okrętów wojennych różnych typów — od krążownika ciężkiego do ścigacza, a uszkodzono kilkanaście dalszych. Wreszcie zatopiono około 300 barek desantowych, kutrów, łodzi i t.d. Marynarka brytyjska, tylko w ostatnim okresie walki o Tunis, wzięła ponad tysiąc jeńców, w tym generała niemieckiego i kilku wyższych oficerów.

LÜTZOW CONTRA SERTORIUS

Jak przewidywaliśmy ilość zatopionych statków handlowych przez okręty podwodne adm. Doenitza spadła o połowę . . . nawet w komunikatach niemieckich. Jakkolwiek cyfra 415,000 ton, podana przez Niemców za kwiecień /w marcu podawali 857,000 ton/ jest oczywiście przesadzona, tym nie mniej jasne już jest, że okręty podwodne Hitlera nie są w stanie utrzymać zapowiedzianego tempa.

I tu następuje bardzo ciekawa sprzeczność między oświadczeniami komentatora radiowego niemieckiej kwatery głównej, kapitana Sertoriusa, a słowami rzecznika marynarki niemieckiej, admirała Lützowa. Pierwszy z nich przypisuje osłabienie działalności okrętów podwodnych . . . złej pogodzie! Drugi natomiast ciężkim warunkom walki, spowodowanym głównie akcją przeciwpodwodną sprzymierzonych. Pierwszy zapowiada, że osłabienie jest tylko chwilowe i pozostawia nadzieję nowych sukcesów. Drugi, przedstawia sytuację raczej ponuro: Przeciwdziałanie sprzymierzonych stało się tak silne, że wymaga specjalnego szkolenia dowódców i załóg okrętów podwodnych. W ciągłych walkach sprzęt wykrusza. Zadania taktyczne stawiane okrętom podwodnym są coraz trudniejsze. Pogoda była rzeczywiście zła, ale nie ona była tedy właściwym powodem niepowodzenia. Spadek zatopionego tonażu wynika bezpośrednio z powiększenia eskorty morskiej i powietrznej sprzymierzonych i udoskonalenia metod walki z okrętami podwodnymi.

JULIAN GINSBERT

Pięta Achillesowa Niemiec

BLOKADA I TRANSPORT W WOJNIE OBECNEJ I POPRZEDNIEJ

Przed obecną wojną strategia brytyjska, opierając się na doświadczeniach pierwszej wojny światowej studiowała bardzo poważnie zagadnienia gospodarcze Niemiec. Badania te wykazały, że maszyna przemysłowa Niemiec z każdym rokiem wojny pracowała coraz gorzej. Składały się na to: wzrastający brak surowców spowodowany blokadą brytyjską oraz coraz ostrzejszy kryzys systemu transportowego.

Jednakże, jak słusznie podkreśla Lloyd George w swoich pamiętnikach "*War memoirs*," obie strony walczące pokładały nadmierną nadzieję w skuteczności blokady jako w sposobie wygrania wojny. Podobnie do niedawna jeszcze znajdowała posłuch wygodna teza, że do wygrania obecnej wojny wystarczy jedynie strategiczne bombardowanie Niemiec.

Pomimo, że zwycięstwo w roku 1918 zostało osiągnięte tylko na polu walki na froncie zachodnim i bałkańskim, strategia brytyjska na początku obecnej wojny przywiązywała ponownie zbyt wielkie znaczenie do blokady, jako środka wojny gospodarczej, prowadzonej prawie wyłącznie za pomocą sił morskich. Podobny pogląd został wyrażony jeszcze w roku 1932 przez wybitnego teoretyka, Lidell Harta w jego książce "*Defence of Britain.*" Do czasu załamania się Linii Maginota, wierzono zarówno we Francji, jak i Wielkiej Brytanii, że armia niemiecka nie będzie zdolna do przełamania potężnych fortyfikacji a tym samym Niemcy będą powoli zmuszone za pomocą blokady do kapitulacji.

Oczywiście po upadku Francji i okupacji prawie całej Europy, blokada jako broń przeciwko samowystarczalnym Niemcom stała się dość wątpliwym środkiem walki — zwłaszcza wobec tempa niemieckiego *Blitzkriegu.* Gdy jednakże sukcesy *Blitzkriegu* nie dały Niemcom ostatecznego zwycięstwa a wojna zaczęła się przedłużać, blokada zaczęła powoli odzyskiwać swoje znaczenie, jako możliwość utrudniania produkcji przemysłu niemieckiego — podstawowego elementu w wojnie totalnej. Jeszcze większego znaczenia, wobec przedłużania się wojny nabrała sprawa transportu, który podobnie jak i blokada w razie wojny błyskawicznej, nie odgrywał większej roli.

Nie jest żadną tajemnicą wojskową, że i Sprzymierzeni mają duże trudności ze swoim systemem transportowym. Zarówno Roosevelt jak i Churchill niejednokrotnie, otwarcie podkreślali w swoich przemówieniach wzrastające trudności transportu morskiego. Jeszcze większe trudności odczuwają Sowiety. Zupełnie otwarcie mówił o nich Stalin w mowie z 6 listopada 1942 a trudności te zwiększały się w miarę odwrotu sowieckiego. Na skutek tych właśnie trudności transportowych załamała się zwycięska ofensywa armii sowieckiej w Basenie Donieckim i na Ukrainie na wiosnę tego roku. Szybkość posuwania się sowieckich kolumn pancernych była większa, aniżeli tempo reperacji zniszczonej przez Niemców sieci kolejowej, a na dobitek przedwczesna odwilż sparaliżowała również i transport drogowy.

Jednakże komunikacja niemiecka przechodzi obecnie jeszcze cięższy kryzys. Już w zeszłej wojnie Niemcy opierały swoje nadzieje wygrania wojny na unieruchomieniu transportu morskiego Ententy. Bardzo interesujące jest powiedzenie Ludendorffa podane przez "*Official German documents relating to the world war,*" na oświadczenie hr. Bernstorffa w maju 1917, że wejście Ameryki pociągnie za sobą na przestrzeni roku niezmiernie doniosłe skutki dla Niemiec, Ludendorff miał odpowiedzieć: "Nie mamy potrzeby czekać cały rok — za pomocą *U-bootów* zakończymy wojnę przed tym terminem." Jednakże ku końcowi wojny, to właśnie transport niemiecki był w stanie krytycznym a w jeszcze gorszym stanie był transport Austro-Węgier.

Rozpoczynając obecną wojnę niemiecki sztab generalny wziął pod uwagę wszystkie doświadczenia z ubiegłej wojny światowej. Doktryna *Blitzkriegu,* który miał zapewnić szybkie zwycięstwo, wyłączała wszystkie troski o transport. Ponadto przewidywała ona użycie własnego lotnictwa przeciwko nieprzyjacielskim komunikacjom lądowym i morskim; miało to uzupełnić działania okrętów podwodnych na morzach.

Wydarzenia obecnej wojny, rozwijają się w dużym stopniu podobnie, jak w poprzedniej wojnie światowej. Na wiosnę 1917 działalność okrętów podwodnych spowodowała silny kryzys w transportach morskich Aliantów na Atlantyku. Admirał amerykański Sims, w książce "*War on sea*" opisuje swoją rozmowę z naczelnym dowódcą floty brytyjskiej, admirałem Jellicoe na wiosnę 1917. Oświadczył mu on wtedy, że straty w tonażu Sprzymierzonych od okrętów podwodnych są tak wielkie, iż jeżeli tak dalej pójdzie, Wielka Brytania za parę miesięcy zostanie zmuszona do kapitulacji. Należy dodać, że i w obecnej wojnie strategia niemiecka pokłada całą swoją nadzieję w ofensywie podwodnej. Admirał Doenitz poszedł całkowicie śladami Tirpitza, który był bliski wywalczenia dla Niemiec zwycięstwa na morzu. W wojnie obecnej, ofensywa okrętów podwodnych, jeżeli nie będzie w stanie zapewnić Niemcom zwycięstwa, to przynajmniej może osiągnąć jeden z celów strategii niemieckiej, to jest opóźnianie utworzenia w Europie drugiego frontu i tym samym wygrywanie na czasie.

Podobnie i niemiecki transport lądowy zaczął odczuwać trudności dopiero w końcowej fazie poprzedniej wojny. Wyczyn, jakim było przerzucenie około miliona żołnierzy z frontu rosyjskiego na front zachodni przed ofensywą marcową Ludendorffa na wiosnę 1918 był ostatnim wyczynem kolejnictwa niemieckiego i to dokonanym z niezmiernym wysiłkiem.

W obecnej wojnie w miarę powiększania się terytorium zdobywanych przez zwycięską "Reichswehrę" a szczególnie po ataku na Rosję, zaczęły rosnąć trudności niemieckiego systemu transportowego. Bliższe wejrzenie w te trudności wykazuje, że transport jest właśnie jednym z najwrażliwszych odcinków Niemiec. Daje to Sprzymierzonym wielkie możliwości działania, aby osłabić i załamać niemiecki potencjał gospodarczy i tym samym spowodować ostateczny kryzys.

System niemiecki zasadniczo składa się z transportu morskiego, żeglugi śródlądowej, transportu kolejowego i drogowego.

Sprzymierzeni zwalczają ten system transportów swoją flotą i lotnictwem, jeżeli idzie o transport morski, a wszelkie inne systemy transportu, za pomocą działania lotnictwa. Należy dodać, że w zwalczaniu transportów pewną rolę odgrywa również i sabotaż ludności miejscowej, który stopniowo wzrasta, i może odegrać olbrzymią rolę w momencie, gdy pożar rewolucji ogarnie całą Europę.

TRANSPORT MORSKI

Jedną z najważniejszych gałęzi niemieckiego systemu transportowego jest transport morski. Przed wojną porty Europy otrzymywały rocznie 350-400 milionów ton towarów, z czego 45—50% z innych kontynentów. Blokada brytyjska przecięła prawie całkowicie ten import za wyjątkiem drobnego importu ze Szwecji oraz żeglugi przybrzeżnej. Porty Europy pomimo blokady są jednak nadal czynne, oczywiście na mniejszą skalę, niż w czasach pokojowych. Przede wszystkim czynne są porty na Bałtyku, który w obecnej chwili jest jeziorem niemieckim, ponadto na Morzu Północnym oraz na Atlantyku.

Na Bałtyku niemiecka flota handlowa nie ponosi prawie żadnych szkód, gdyż nie mogą tam przenikać brytyjskie okręty podwodne, zaś działalność sowieckich okrętów podwodnych jest na niewielką skalę. Sytuacja może ulec pewnej zmianie, gdy armia niemiecka będzie zmuszona do odwrotu z frontu północnego i flota sowiecka, zamknięta na razie w Kronsztacie, będzie mogła uzyskać większą swobodę działania.

Natomiast na Morzu Północnym oraz na Atlantyku niemiecka flota handlowa ponosi poważne szkody od floty i lotnictwa brytyjskiego. Prasa angielska przynosi nieustannie wiadomości o zatapianiu statków niemieckich w pobliżu portów Holandii lub Belgii lub też wybrzeży Norwegii. Straty te, jeżeli je zesumować, rosną w miliony ton. Z 28 milionów ton niemieckiego tonażu handlowego oraz krajów Europy okupowanej, który dostał się w ręce niemieckie, zatopiono do końca 1942 ponad 6 milionów ton. Około 10,5 milionów ton dostało się w ręce Sprzymierzonych w portach neutralnych i portach Afryki Północnej. A więc straty w tonażu Osi wyglądają wcale poważnie.

Sytuacja ta znacznie się pogorszyła z chwilą zupełnego opanowania Afryki Północnej przez Sprzymierzonych, gdy lotnictwo brytyjskie i amerykańskie zaczyna stopniowo wypierać "Luftwaffe" z lotnisk Sycylii i Sardynii i tym samym uzyskiwać panowanie nad Morzem Śródziemnym, gdzie czynne jest około 2-3 milionów tonażu włoskiego i krajów okupowanych.

ŻEGLUGA ŚRÓDLĄDOWA

O wiele większe znaczenie dla przemysłu niemieckiego, aniżeli transport morski, ma śródlądowy transport wodny za pomocą sieci kanałów. Należy przypomnieć, że Niemcy posiadały przed wojną najlepiej na całym świecie rozwiniętą sieć kanałów. Jeden z głównych portów rzecznych, będący tak częstym celem nalotów R.A.F., Duisburg, ma większy przeładunek, aniżeli porty Nowego Yorku, Liverpoolu lub Buenos Aires. Użycie tych kanałów jest szczególnie ważne w czasie wojny, gdyż odciążają one kolosalnie przeładowane koleje. Dlatego też jasne jest, dlaczego R.A.F. tak wielką uwagę poświęca portom rzecznym Europy, a zwłaszcza portowi w Duisburgu.

W roku 1939 Niemcy posiadały około 6 milionów statków wszelkiego rodzaju, przeznaczonych do żeglugi śródlądowej, oraz tysiące barek o nośności 13 milionów ton. Wielka ilość tonażu została zdobyta przez armię niemiecką w Holandii, Belgii i Francji. We wrześniu 1940, kiedy Hitler przygotowywał inwazję Wielkiej Brytanii, około 3000 barek z napędem motorowym zebrano w portach od Amsterdamu do Cherbourga. Wiele z nich uległo zniszczeniu na skutek gwałtownych nalotów R.A.F. na porty inwazyjne.

Od samego początku wojny użycie kanałów zostało znacznie spotęgowane. Na jesieni 1939, będąc w Budapeszcie, widziałem sam niezliczone ilości barek naładowanych ropą rumuńską i holowanych w górę Dunaju do Austrii i dalej do Niemiec. Zajęcie Rumunii umożliwiło pełne wykorzystanie Dunaju dla transportu nafty rumuńskiej i przez jakiś czas sowieckiej oraz chromu tureckiego.

Należy dodać, że najbardziej żywotna część systemu komunikacji śródlądowej leży w odległości około 400—500 mil od wybrzeży Wielkiej Brytanii, czyli w zasięgu bombowców wszelkich typów.

TRANSPORT KOLEJOWY

Jednakże pomimo znaczenia jakie ma transport morski i śródlądowy, transport kolejowy odgrywa największą rolę. Przed wojną koleje Europy przewoziły około biliona metrycznych ton różnych towarów, podczas gdy na drogi wodne przypadało w tym czasie około 400 milionów ton. Z tej cyfry same tylko koleje Rzeszy przewoziły 45%.

Kryzys w kolejach niemieckich zaczął się właściwie, już w roku 1937, kiedy odczuwały one brak około 100.000 wagonów towarowych. Sytuacja ta uległa silnemu pogorszeniu w roku 1938 w związku z gwałtowną rozbudową Linii Siegfrieda — "Westwallu" oraz wzmożonej produkcji przemysłu wojennego. Ten kryzys kolejowy, notabene, spowodował zbyt pośpieszne wnioski w kołach sztabowców i ekonomistów alianckich, że Niemcy nie będą zdolne do prowadzenia wojny.

Jednakże zdobycie austriackiego taboru kolejowego po Anschlussie, czeskiego a następnie i polskiego poprawiło poważnie sytuację *Reichsbahnen* na pewien czas. Do tego doszedł później jeszcze tabor kolejowy całej Europy okupowanej oraz Włoch. W ten sposób ilość lokomotyw, którą rozporządzały Niemcy w roku 1937, /wynosząca 21,600/ zwiększyła się w roku 1940/41 do 73,800; ilość wagonów osobowych z 67,000 do 163,000 a towarowych z 575,000 do 1,747,000.

Poważne straty w lokomotywach, jak oświadczył Hitler w swojej mowie na wiosnę 1942, poniosły koleje niemieckie w Rosji na skutek niezmiernie surowych warunków atmosferycznych. W czasie kampanii w Rosji, Niemcy nie zdołali zdobyć wiele taboru sowieckiego. Wojska sowieckie ewakuowały go w miarę możności, ponadto w czasie odwrotu stosowały zasadę "*scorched earth policy*" i niszczyły dokładnie wszystkie instalacje kolejowe.

Trudną sytuację kolejnictwa niemieckiego skomplikował fakt, że koleje w Europie okupowanej również nie znajdowały się w stanie kwitnącym już przed wojną. We Francji transport kolejowy, który na długo przed r. 1939 pozostawiał wiele do życzenia, znajduje się obecnie w stanie opłakanym — z 18,000 lokomotyw zaledwie 7,000 jest obecnie zdolnych do użytku. Do tego stanu rzeczy przyczyniła się przede wszystkim bezwzględna eksploatacja kolei przez Niemców a następnie brak smarów i odpowiedniej opieki. Podobnie i w innych krajach Europy okupowanej rabunkowa gospodarka taborem kolejowym prowadzona przez niemieckich zaborców wywołała już teraz poważny kryzys kolejnictwa.

Również i Włochy, które tylko nominalnie nie są krajem okupowanym, odczuwają poważne trudności w swoim systemie kolejowym. Około 700 lokomotyw i 27.000 wagonów towarowych nieustannie przewozi węgiel z Niemiec dla włoskiego przemysłu wojennego. Węgiel ten niejednokrotnie zamiast z Ruhry, idzie do Włoch ze Śląska o wiele dłuższą drogą przez Austrię, a to na skutek zniszczeń wyrządzanych przez R.A.F. w systemie kolejowym Ruhry.

Należy tu dodać, dla ilustracji, że w Ruhrze na każde 100 mil kwadratowych wypada 25 mil linii kolejowych. To nam pozwala wyobrazić sobie rozmiar szkód spowodowanych przez niedawne zerwanie tam i efekt ostatniego nalotu na Dortmund.

UDERZANIE W NIEMIECKI SYSTEM KOMUNIKACYJNY Z POWIETRZA

W świetle tych danych i cyfr bardziej zrozumiała staje się strategia nalotów bombowych lotnictwa Sprzymierzonych na Niemcy. Jeżeli poddamy bliżej badaniu cele nalotów bombowych, to około 1/3 nocnych i dziennych tych nalotów skierowana jest na obiekty kolejowe, szczególnie w Nadrenii i Westfalii.

Niezależnie od zniszczeń taboru kolejowego i urządzeń kolejowych, bombardowania te wywołują wielkie zamieszanie w systemie kolejowym i tak już silnie nadwyrężonym. W następstwie odbija się to bardzo poważnie na wydajności produkcji przemysłu wojennego, która wedle obliczeń brytyjskich w niektórych gałęziach miała się obniżyć aż o 50%.

W roku 1942 R.A.F. zaczął stosować nową metodę atakowania w czasie dziennych nalotów na Francję, Belgię lub Holandię pociągów a w szczególności lokomotyw.

Podobnie myśliwce brytyjskie z lotnisk na Malcie, atakują pociągi włoskie na Sycylii lub we Włoszech południowych. W styczniu 1943, około 90 lokomotyw zostało zniszczonych. Jest to poważny cios dla przemysłu niemieckiego, gdyż budowa jednej lokomotywy zabiera około 8—12 dni roboczych. Jeszcze większym ciosem dla kolejnictwa niemieckiego są liczne ostatnio naloty lotnictwa Sprzymierzonych na warsztaty kolejowe i fabryki parowozów.

Według danych brytyjskich, w ciągu roku 1942, R.A.F. zniszczył czynnych lokomotyw o wiele więcej aniżeli wynosi ich połączona produkcja przez fabryki niemieckie oraz fabryki Europy okupowanej. Niemcy obecnie stosują opancerzenie lokomotyw oraz montują na tendrach działka przeciwlotnicze, aby zmniejszyć o ile można, coraz bardziej dotkliwe straty.

Należy dodać, że w przeciwieństwie do licznych przypuszczeń wygłaszanych przed wojną przez różnych wybitnych ekspertów gospodarczych, Niemcy nie odczuwają, jak dotąd, zbyt wielu trudności w transporcie drogowym. Drażliwe sprawy benzyny oraz gumy zostały rozwiązane przez nie w sposób zadawalający. Wykorzystują w całej pełni polskie i rumuńskie szyby naftowe, a ponadto mają poważną produkcję nafty syntetycznej. Polskie szyby naftowe zostały bardzo szybko doprowadzone do stanu używalności a nasi Sprzymierzeni nie wykorzystali sposobności, kiedy lotnictwo brytyjskie było na lotniskach greckich, by odpowiednio zbombardować Ploësti. Jedynie nie udało się Niemcom zreperować uszkodzonych przez oddziały sowieckie szybów w Majkopie.

Ze względu na ten stan rzeczy R.A.F. już w zeszłym roku zaprzestał bombardowań fabryk benzyny syntetycznej, kierując naloty na cele ważniejsze.

WNIOSKI NA BLIŻSZĄ I DALSZĄ PRZYSZŁOŚĆ

Sumując bezstronnie trudności istniejące w systemie komunikacyjnym państw Osi, byłoby oczywiście przesadą oraz łatwizną propagandową twierdzić, że sytuacja obecna już może grozić katastrofą. Jednakże trudności te rosną z każdym miesiącem a ilość surowców i materiałów potrzebnych dla produkcji nowego taboru również zmniejsza się stale. Jednocześnie ze względu na nieustanny wzrost anglo-amerykańskiej potęgi lotniczej, bazującej się na Wyspach Brytyjskich, sytuacja ta może jednak ulec poważnemu pogorszeniu.

Niewątpliwie działalność lotnictwa Sprzymierzonych w obecnej chwili skierowana jest przede wszystkim na bazy okrętów podwodnych oraz na porty, w których znajdują się stocznie i warsztaty reperacyjne, jak w Hamburgu, Bremie, Wilhelmshafen i t.d. — jednak te naloty wyrządzają także poważne szkody w systemie transportów morskich.

Ponadto przed lotnictwem Sprzymierzonych otwierają się olbrzymie możliwości w razie zwiększenia siły nalotów na system kolejowy zagłębia Ruhry — Westfalii oraz Longwy-Briey i Belgii — wszystkie te zagłębia leżą w rejonie poniżej 500 mil od lotnisk na terenie Wielkiej Brytanii. Szkody wyrządzone w tych zagłębiach odbijają się nie tylko na produkcji tych rejonów, ale produkcji całego niemieckiego przemysłu wojennego i Włoch. Dlatego też taki nalot R.A.F. na Essen lub Kolonię zostaje odczuty nie tylko w Ruhrze, ale równie silnie w całym niemieckim systemie przemysłowym, który Niemcy napróżno przenoszą możliwie najdalej na wschód. Warto by tu przypomnieć zdanie Ludendorffa z jego pamiętników, jak na skutek kryzysu kolei niemieckich, fabryki amunicji musiały zatrzymywać swoją produkcję na szereg dni.

Stąd celem R.A.F. winno być nie tyle zniszczenie przemysłu niemieckiego co nie jest zbyt łatwe do osiągnięcia, ale sparaliżowanie systemu transportowego, który jest systemem krwionośnym tegoż przemysłu.

Należy jeszcze wziąć pod uwagę, że wzrastający kryzys kolejowy utrudnia nie tylko produkcję przemysłową, ale również i transporty wojsk. Znaczne sukcesy strategiczne w zeszłej wojnie sztab niemiecki osiągał dzięki znakomitemu wykorzystaniu i równie dobremu w pierwszych okresach wojny — funkcjonowaniu kolei. Jeden z wybitnych niemieckich teoretyków wojennych, prof. Banse w książce "*Germany prepares war*" stwierdza, że "wojna to w znacznym stopniu — rozwiązanie zagadnienia transportowego . . ."

O ile kryzys kolejowy oraz innych działów systemu transportowego Rzeszy i Europy okupowanej będzie rósł, da on się odczuć przede wszystkim w dramatycznym momencie lądowania sił Sprzymierzonych na różne odcinki wybrzeży Europy, gdy sztab niemiecki będzie musiał szybko przerzucać swoje oddziały w kierunku zagrożenia. Kryzys komunikacji, który już teraz powoduje coraz większą dezorganizację przemysłu wojennego w Niemczech, odegra też pewną rolę, być może decydującą — w czasie przyszłych działań wojennych na terytorium Europy.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Niezłomne serca

Dokumenty martyrologii polskiej



III.*

Jedną z najpiękniejszych książek, jakie posiada literatura polska, jest niewątpliwie uśmiechnięta opowieść Sienkiewicza o egzotycznych przygodach Stasia Tarkowskiego i tak ufnie weń zapatrzonej małej Nelly. Cudowna książka i jedyna w swoim rodzaju. Apoteoza zaradności, odwagi i rycerskości, a więc cnót tak chętnie gloryfikowanych przez Sienkiewicza.

Oryginalność polega na tym, że "W pustyni i w puszczy" po raz pierwszy cnoty te grają w zupełnym oderwaniu od rodzimego tła polskiego; polska rycerskość jest niezależna od szerokości geograficznej — obowiązuje zawsze i wszędzie. Ponadto — bohaterami są dzieci; sens, rycerskim jest się od kolebki. W sumie, nie znam książki polskiej bardziej uniwersalnej, w założeniu swym tak nawskroś europejskiej.

I czyż nie jest dowodem przedziwnej intuicji Sienkiewicza, że na trzydzieści kilka lat przed naszym przybyciem na tę wyspę — jakby w przeczuciu aliansu "na śmierć i życie" i masowych małżeństw polsko-szkockich — bohaterką swej opowieści zrobił młodocianą poddaną Jego Królewskiej Mości! Zaiste, podziwiać należy naszą propagandę, że atutu tego, o ile mi wiadomo, dotychczas nie zdyskontowała i że w ogóle jakoś cicho z tłumaczeniem sienkiewiczowskiej opowieści na język angielski.

Ale wróćmy do Stasia Tarkowskiego. Mam dla czytelników "Polski Walczącej" dobrą nowinę: Staś żyje i dobrze się miewa. Mówię o Stasiu najmłodszym — tym, który stanął wobec kataklizmu obecnej wojny w wieku zgoła, powiedzmy, harcerskim i w roku 1939 ani rusz karabinu w garści utrzymać jeszcze nie był w stanie.

Znaliśmy bowiem i innych Stasiów. Pierwszym z rzędu było pokolenie autentycznych rówieśników sienkiewiczowskiego bohatera, tych, którzy bez reszty spełnili swój obowiązek żołnierski w pierwszej wojnie światowej i dali ojczyźnie Zmartwychwstanie. Szczęśliwe pokolenie. Polska w ciągu dwudziestu lat była im matką a nie macochą. Zły los — a może po części i własne błędy — nadwyrężyły ich dzieło. Zaczynać trzeba od nowa. Ale legenda żołnierskiej zasługi i cnoty zostanie. Jest nietykalna i wieczna.

Druga generacja Stasiów — to dzieci polskie z lat 1918 — 20, mające swoją własną kartę chwały w naszej historii. Nie zapomnę nigdy reakcji jednego z kolegów brytyjskich, który na dwa lata przed wojną odbywał kilkunastodniowy staż w pułku "Dzieci Lwowskich." Zaprowadziłem go, rzecz jasna, na Cmentarz Łyczakowski i u podnóża mauzoleum Obrońców Lwowa *ad oculos* klarowałem historię bohaterskiej obrony miasta. Widząc dziesiątki mogił młodocianych obrońców, głęboko wzruszony zapytał:

—"Czemu świat tak mało wie o tym?"

Odpowiedziałem i dziś gotów jestem z niejaką goryczą odpowiedź tę powtórzyć:

—"Bo nie chce wiedzieć."

Trzecie pokolenie — to w dosłownym znaczeniu dzieci tych pierwszych. Staś Tarkowski, którego za chwilę zaprezentuję, jest autentycznym synem jednego z naszych starszych kolegów. Lwowianin — a więc twarda rasa. Został deportowany wraz z siostrą w głąb Rosji, jak dziesiątki tysięcy innych dzieci polskich. Długo milczał. Odezwał się dopiero w maju 1943 r. Późno, ale jakże za to mądrze i pięknie. Posłuchajmy.

Kochany Tatusiu!

Po tak długim czasie nareszcie mam sposobność napisać do Ciebie. Nie wiesz nawet jak tęskno mi było do Ciebie przez te dwa lata samotnej włóczęgi po Syberii. Nieraz myślałem, jak to dobrze było w domu: można się było popieścić, było się komu poskarżyć — a tu nic. Wszyscy obcy i wszyscy zimni.

Albo lepiej opowiem Ci wszystko. Więc po zabraniu nas z Jadzią ze Lwowa wywieźli nas do jednego kołchozu. Ja tam pracowałem na roli t.zn. orałem, siałem, bronowałem i t.d. — w ogóle wszystko od godziny w pół do czwartej do dziesiątej wieczorem. Jadzia nie pracowała, bowiem to co ja zarąbiałem wystarczało nam obojgu. Tak doszło aż do końca sierpnia.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła na mnie wiadomość, że Jadzię mają aresztować. Natychmiast rzuciłem robotę i wyruszyłem do B., odległego o 75 kilometrów od naszego kołchozu, gdzie Jadzia miała się znajdować na targu. Tych 75 kilometrów przebyłem na piechotę poprzez góry, a nie drogą, bo to dalej. Szedłem 10 godzin — prędzej nie mogłem. Mimo najlepszych chęci, w B. Jadzi nie znalazłem, więc wróciłem z powrotem, chcąc zabrać nasze rzeczy i gdzieś się ukryć aż sprawa przycichnie, by potem pomagać Jadzi. Stało się inaczej — w domu już oczekiwali na mnie milicjanci i natychmiast zostałem aresztowany i osadzony za opuszczenie roboty. W czasie gdy wieźli mnie do więzienia, ja im wyskoczyłem z auta, no i złamałem sobie nogę. Nic się nie martw — teraz najlepszy nawet lekarz nie pozna się, czy miałem złamaną nogę czy nie. Więc "oni" mi trochę dołożyli, no i powieźli do szpitala.

Gdy wyszedłem ze szpitala sprawę tę "oni" już zapomnieli. Z braku środków do życia, gdyż rzeczy skonfiskowali, wziąłem się uczyć szewstwa i poszło dobrze. Dostawałem 75 rb. miesięcznie, co mi wystarczało równo na mleko, a chleb i mąkę dostawałem z kooperatywy, tąk że jakoś żyłem. Gdybym tam nie pracował byłoby źle, bowiem wyobraź sobie, 16 kilogramów mąki kosztowało 400 rubli.

Tak było aż do wiosny. W tym czasie cudem skomunikowałem się z Jadzią, ale zaledwie kilką listów udało się napisać, bowiem Jadzię znów odesłali do innego więzienia. Gdy roztopy minęły udałem się na wieś, gdyż tam łatwiej było żyć w moim fachu. Tak przeżyłem całe lato, robiąc nowe i naprawiając stare buty.

Gdy jesienią przyszła wiadomość o amnestii, pojechałem do K., aby zapisać się do wojska. Tam też w Poselstwie zawiadomiłem o wszystkim co spotkało Jadzię, poczem wyjechałem z transportem do wojska w B. Transport nie doszedł, ale ja na własną rękę dojechałem. Tam w B. zostałem gońcem w Dowództwie Armii i jeździłem do różnych miast Rosji.

Tak było aż do końca grudnia. Pod koniec grudnia, wskutek tak uciążliwych podróży,.w których przeważnie jechało się na głodno /bowiem za pieniądze nic nie mogło się kupić/ w ostatniej powrotnej drodze do B. wskutek silnej gorączki i wyczerpania wpadłem pod pociąg. Było to o 45 km. od B. Bóg chciał, że wpadłem między szyny, tak że cały pociąg przeszedł nade mną. Narobiło się ruchu, bowiem inni wojskowi jadący ze mną, widzieli mnie, jak wleciałem pod pociąg, no i naturalnie zaraz po przyjeździe zawiadomili o tym Dowództwo Armii. No, ale ja zaraz następnym pociągiem dobiłem do B. W dowództwie armii zjawiłem się jak duch nieboszczyka, bo za takiego już mnie uważano — wprawdzie bez munduru i w poszarganych spodniach, ale cały.

Zaraz po tym wypadku odesłano mnie do szpitala w T. Po wyzdrowieniu miałem iść do Podchorążówki, ale do tego nie doszło, bowiem powołanie odbyło się wcześniej, a moja choroba przeciągnęła się dłużej, tak, że lekarze nie myśleli o mojej podchorążówce, ale o tym, żeby mnie utrzymać przy życiu. Z choroby wyszedłem jak szkielet.

Po przyjeździe do K. zostałem gońcem Komendy Placu w plutonie sztabowym i jestem nim do teraz. Mniej więcej dwa i pół tygodnia temu przyjechał tutaj do wojska mój kolega Witold W. i przywiózł radosną wieść o tym, że Jadzia znajduje się w S. na wolności.

Natychmiast wysłałem depeszę do Jadzi o sobie. Potem udałem się na radę do naszego starego to jest do pana pułkownika S. i R. Oni uradzili, żeby Jadzia tutaj przyjechała, co też jej napisałem. Dostanie tutaj zajęcie w szpitalu lub opiece społecznej. Byłaby w takim razie już ze mną. No, ale gdyby się spóźniła i mnie nie zastała, bo ja mam z pierwszym transportem odjechać jako eskorta, to się już nią tutaj zaopiekują, tak że głodu nie zazna. Mam tu w szpitalu znajome panie oraz w opiece społecznej również, które obiecały zająć się Jadzią, gdyby mnie nie było.

No, a gdyby zdążyła, co by Bóg dał, to by ze mną pojechała do I., a tam by już się łatwo z Tobą spotkała. Mnie się tam spodziewaj jak najprędzej, a może nawet ja już tam będę, gdy ten list dojdzie do Ciebie. Podaję Ci mój adres obecny, a przyszły Jadzi.

A teraz kończę ten list i całuję Cię z całych sił i jak tylko mogę.

Staś



Czyż nie mam racji, twierdząc, że oto stoimy znów wobec jednego z tysiącznych wcieleń sienkiewiczowskiego Stasia? Odmienne są warunki, których w najśmielszej fantazji autor "W pustyni i w puszczy" przewidzieć nie był w stanie. Ale istota typu polskiego jest ta sama. Entuzjazm, zaciętość, odwaga, i nawet owo czysto polskie poczucie humoru, dochodzące do głosu niezależnie od okoliczności . . .

Źródło tej jednolitości i wewnętrznego logicznego powiązania nie jest całkiem proste: Staś jest Polakiem.

IV.

W poprzednim felietonie zamieściłem trzy przepiękne listy ciotki i sióstr ś.p. majora S. Listy głęboko filozoficzne — na najwyższych szlakach uduchowionej, niemal ascetycznej, myśli ludzkiej.

Tym razem mały przekrój innego środowiska. Środowiska, w którym "wierzę" pisze się przez "ż," a znaki przestankowe nie istnieją. Ale istota rzeczy jest ta sama: wiara ze spiżu, a szlachetność i delikatność uczuć godne czci najgłębszej. Nie znam pani Pelagii, ale wiem, że możemy być wszyscy dumni, że tak Polskę reprezentuje.

Kochany Mężulku i Tatku!

Serdeczne pozdrowienia ślemy Ci wszyscy. Listy Twoje otrzymałam. Ze 16.1 dostałam 8.IV a list pisany 30.X.1941 dostałam 20.IV. Nie wiem dlaczego tak listy niedochodzą naprawdę nie moja wina. Ile ja pisze i listy polecone i zwykłe i odkrytki a dlaczego nie dochodzą czy już takie moje szczęście. Przecież i do B. specyjalnie z listem jeździłam i do K. pisałam i też nic. Ja dostałam 5 listów i 1 telegram.

Kochany Władziu może ten list dojdzie a więc donoszę Ci że my jesteśmy zdrowi. Henio wyrósł ma już 6 lat i twierdzi że będzie już pracował bo mamusia niemoże. Jadzią opiekuje się i stale tatusia wspomina, na każdym zdjęciu tatusia poznaje i prosi Bozię ażeby mógł kiedyś wrócić do Polski i będzie tatuś go uczył na rowerze jeździć a Jadzia mówi dlaczego ty mamusiu tu siedzisz czemu do tatusia nie jedziesz. Taki grubasek nie wiem od czego stale chorowała dopiero od tamtego roku wzieła się do życia. Marysia jest ze mną a Stachu poszedł do wojska 12.I.1942, teraz jestem sama.

Ciężko ale co robić. Na to człowiek żyje ażeby cierpieć. Czekamy i czekamy ażeby się z Tobą zobaczyć, nie wieże że my tu już zostaniemy. Piszesz o pomocy pieniężnej a ty może sam nie masz. Nam teraz dopomaga Ambasada Polska. Gorzej z obuwiem i odzierzą, dzieci zupełnie bose i ja całą zimę w kaloszach chodziłam a zima tu okrutna, no teraz dostałam buciki z pomocy amerykańskiej to mamy z Marysią a dzieci mogą w papciach chodzić. Pszenicę jeszcze mamy cośmy sobie tamtego roku zarobili, a teraz jak zima popuści znowu do roboty pójdziemy ażeby mieć chleb.

Nie martw się o nas, my dokąd będziemy mogli pracować jakoś będzie. Jakby Ci wystarczało, ale zaznaczam nie rób sobie uszczerbku, kup sobie do zjedzenia abyś przetrwał i sił nabrał, bo Ty w domu byłeś niezdrów a co dopiero teraz. I tam koło was pustynia widać po mapie. Więc gdybyś mógł wyślij paczkę przez Polską Ambasadę, troche dzieciom słodyczy i buty i jakiego perkalu.. Jeszcze raz Cię upominam bez szkody dla siebie bo my jeszcze trochę wytrzymamy a jak chodzimy ubrane to nasza rzecz, na nikim tu nam nie zależy.

Kończę i proszę Boga byś ten list chociaż dostał. Wierze że Ci żal bo i ja jak nie mam listu to się martwie. Całujemy Cię Tatusiu mocno i prosimy Boga byśmy mogli razem być. Choćżeśmy wszystko stracili ale to rzecz nabyta, tylko głowa do góry. Do szybkiego się zobaczenia całujemy.

Pela

Nadejdzie dzień, w którym bardzo zmęczeni ale wolni, powrócimy do wspólnego domu. I wierzę, że przy dyskontowaniu zasług Polska będzie sprawiedliwa i nie zapomni, ile ma do zawdzięczenia kobietom i dzieciom tak godnie reprezentującym Jej honor.

ANDRZEJ LIEBICH

---

* Por nr. 15 "Polski Walczącej" z b.r.

Od wrót Tamerlana do Piccadilly

VII. Przedostatni etap*

NA ANTYPODACH

—Panie Pułkowniku, melduję zbiórkę do nabożeństwa gotową.

Kilka tysięcy żołnierzy, uszykowanych w głębokie szeregi, stoi przed skromnym, polowym ołtarzem, na którym ojciec Cassendy, kapelan-Irlandczyk, odprawia nabożeństwo. Obok garść ludności cywilnej Pietermaritzburga i oddział marynarzy brytyjskich z sąsiedniego obozu. Chór artylerii śpiewa pięknie polskie pieśni kościelne . . .

Jakimże zrządzeniem losu ci żołnierze-tułacze zostali rzuceni aż na południowy skrawek Afryki, by tam zażyć zasłużonego po latach niewoli i udręki wypoczynku? Dużo pisać będzie trzeba w nowych "Księgach pielgrzymstwa polskiego" — o czasach dzisiejszych. I długa, a nieraz ciernista, jest droga odkupienia wiodąca do zwycięstwa . . .

Ale nie tylko wypoczywało się w obozie pod Maritzburgiem. Szła też wytężona praca instruktorska. Codziennie wzgórza okoliczne rozbrzmiewały słowami polskich piosenek — żołnierze ciągnęli na ćwiczenia.

Przodowała Podchorążówka. Ludziom małego ducha, a szczególnie rozpolitykowanym materialistom emigracji, przydało by się popatrzeć na tych kilkuset żołnierzy, dla których słowa Ojczyzna, obowiązek, służba — nie były pustym dźwiękiem. Byli wśród nich młodzieńcy, wyrwani ze szkół w Polsce, wprost do "łagrów" podbiegunowych. I byli ludzie starsi — do czterdziestki — niemniej entuzjastycznie i ideowo nastawieni. Byli przedstawiciele wszystkich warstw społecznych i różnych wyznań. I byli obok starych żołnierzy — chłopcy, co nigdy w wojsku nie służyli . . .

A jednak Podchorążówka, od instruktorów do rekrutów, stanowiła mocny, sprawny, dzielny, ideowy i koleżeński zespół, z którym, jak z dragonami laudańskimi Wołodyjowskiego, można było iść od zwycięstwa do zwycięstwa — "wrogom na pohybel, Ojczyźnie na chwałę." I nie gorsze od Podchorążówki były pod względem ducha i gorliwości — inne oddziały. Bo taki już podobno nasz los, że elitą społeczeństwa jest żołnierz, oczywiście — żołnierz prawdziwy, a nie ten, odziany w mundur, rozpolitykowany cywil . . .

W Pietermaritzburgu polityki nie było. Zetknęliśmy się z nią dopiero w Szkocji, poznawszy starą prawdę o "delicjach Kapui," co pokonały nawet niezwyciężonego Hannibala. Nie darmo Napoleon twierdził, że wojsko, aby się biło dobrze, musi być ubogie i skromne, a karność jest zasadniczą podstawą każdej armii. Pospolite ruszenie w zaściankach nie wygrało jeszcze żadnej wojny.

Na szczęście żołnierz polski ma to do siebie, że w krytycznej chwili odzyskuje zawsze równowagę ducha, poczucie godności wojskowej i ów niezrównany "*ésprit militaire,*" którego zazdroszczą Polakom wszystkie armie świata. I dlatego, gdy "delicje Kapui" się skończą, a zaczną "pola Marsowe" — Polska będzie mogła zaufać i tym swoim żołnierzom. Nie będą gorsi od walczących bez przerwy polskich marynarzy i od bombardujących nieprzyjaciela polskich lotników.

PRZEZ DWA OCEANY

I znów ocean — błękitny, bezbrzeżny, łaskawie sfalowany. Dwa krótkie postoje — z nich jeden u stóp Góry Stołowej, na szlaku Vasco de Gamy. I długie, długie tygodnie pływania, wśród "zwykłych" niebezpieczeństw wojennych.

Na statku porządek wzorowy. Jeńcy włoscy, oddani nam pod eskortę, trzymani w ludzkim rygorze. Kompania Obrony Okrętu — uformowana przez ppor. M., jednego z tych młodych, ideowych oficerów, o których nawet wróg twierdził, że stali na wysokim poziomie wiedzy i poczucia obowiązku — ćwiczy od pierwszej chwili.

Po tygodniu Polacy obsadzają obydwa działa, 22 karabiny maszynowe, 4 rakietnice, bomby głębinowe, służbę wypatrywaczy i porządkową. Oddziałek marynarzy pracuje w maszynach, przy sterze, na pomoście sygnałowym. Pierwsze ostre strzelanie wywołuje ogólny entuzjazm, zarówno Polaków, jak i ich brytyjskich instruktorów. I odtąd statek płynie całkowicie pod opieką żołnierza polskiego, co raz jeszcze dowiódł, że żadna służba nie jest mu straszna, że potrafi dać sobie radę nawet na Oceanie.

Rzeczywiście. Ludzie ci nie tylko nigdy nie pływali, ale w ogóle — poza kilkoma wyjątkami — nigdy nie widzieli morza. Po paru dniach przystosowali się do niego znakomicie, a po kilkunastu stali się żeglarzami, gotowymi nie tylko walczyć z żywiołem, ale też z każdym niebezpieczeństwem nawodnym, podwodnym czy napowietrznym. Pod koniec podróży wielu żałowało, że nie udało się stoczyć walki z nieprzyjacielskim okrętem podwodnym i spróbować swych sił . . . Wielu chciało wstąpić do Marynarki Wojennej, tak im się spodobała służba na morzu. I gdzież są nasi "pesymiści," którzy twierdzili, że służba morska rzecz Polakom obca i wroga, że w tej dziedzinie nic zdziałać nie potrafimy?

Niebezpieczeństwo było istotne. Póki szliśmy w konwoju, coraz to któryś z towarzyszących kontrtorpedowców wywieszał sygnał alarmowy. Huczały syreny, zaczynało się gwałtowne zygzakowanie, statki rozpraszały się. Gdy wreszcie w okolicach Zwrotnika Raka, rozproszono konwój, i statek nasz znalazł się samotnie wśród bezmiarów wodnych — zapanował rzekomy spokój. Nie mając aparatów podsłuchowych, byliśmy zdani całkowicie na "własny przemysł." Tu dopiero pokazało się, co jest wart polski żołnierz.

Płynęliśmy wodami nawiedzanymi obficie przez nieprzyjaciela. W miarę posuwania się na Północ woda stawała się coraz bardziej zimna i coraz mniej spokojna, niebo — coraz bardziej ponure i chmurne. Byliśmy sami jedni na środku Atlantyku, wśród czyhających wrogich okrętów podwodnych, do których później mogły się przyłączyć samoloty. Pomoc — w wypadku storpedowania — wydawała się bardzo wątpliwa, do najbliższego lądu było setki, nieraz tysiące mil.

A mimo to, najmniejszych objawów niepokoju. I myliłby się ten, który by sądził, że była to zwykła, beztroska lekkomyślność. Ot, po prostu, kilka pogadanek do żołnierzy, pogadanek bynajmniej nie ukrywających niebezpieczeństwa, a przeciwnie głoszących całą, nagą prawdę. Ale też w pogadankach tych oficerowie podkreślali, że tylko wzorowe pełnienie służby może być lekarstwem przeciw niebezpieczeństwu. Żołnierzowi polskiemu zawsze i wszędzie można i należy mówić prawdę.

—Nie mogę Wam obiecać, że dopłyniemy bez strat — mówił jeden z oficerów. — Ale mogę obiecać, że straty te będą minimalne, o ile zachowamy ład, spokój, karność i sprawność bojową.

Statek dopłynął szczęśliwie. Niestety, na innym statku zginęło 31 żołnierzy Podchorążówki, z doskonałym instruktorem, st. sierżantem Muchą, na czele. O ich bohaterstwie i przygodach pisały gazety polskie i angielskie. Szkoda, wielka szkoda, tych ludzi, co walcząc o Polskę znaleźli grób na środku Atlantyku.

"OLD MERRY SCOTLAND"

Kolegów, którzy przed wylądowaniem w Szkocji dzielili nasz transport przez 40, licząc, że w wyniszczonej wojną krainie podstawią nam towarowe wagony, spotkał miły zawód. Podstawiono dwa piękne osobowe składy, w których rozmieszczono się bez tłoku. Poczem z szybkością 90 km na godzinę pomknęliśmy do obozu rozdzielczego. Niebawem okazało się, że Anglia wygłodzona blokadą i zbombardowana do cna w komunikatach niemieckich, jest w istocie krainą miodem i mlekiem płynącą, która wprawdzie ucierpiała od bomb nieprzyjacielskich sporo, ale z tego powodu ani nie straciła ducha, ani nie zmieniła swych pokojowych obyczajów . . .

Zacna staruszka, u której dostałem kwaterę, chodziła koło mnie, jak koło rodzonego syna. W czwartym roku wojny świadczyło to niewątpliwie o dużym stopniu obywatelskiego poczucia. A zresztą i o . . . sercu.

—Mam dwóch synów w wojsku. Jednego w Indiach, drugiego w Afryce — powiedziała mi któregoś dnia. — Myślę, że jeśli będę dla pana dobra, to ktoś moim dzieciom za to odpłaci . . .

* * *

Na okolonym wzgórzami, rozmokłym od deszczu, szkockim błoniu — ustawia się czworobok wojska, z orkiestrą na prawym skrzydle. Sygnał na trąbce. Ostre słowa komendy. I przed frontem staje Naczelny Wódz . . .

Idzie zwolna wzdłuż szeregów, patrząc w twarze żołnierskie, co jeszcze noszą ślady głodówek, tyfusu i "cyngi," trapiącej w "łagrach" dalekiej Północy. Idzie zwolna, salutując tych żołnierzy-tułaczy, co przybyli na *przedostatni etap* — lądem i morzem — od tajg Sybiru, śnieżnych pól Workuty, lodowatych brzegów Białego Morza, pustyń Kazachstanu, czy nawet brzegów Morza Ochockiego — tu, do wolnej, zwycięskiej Anglii, skąd już tylko skok jeden do Ojczyzny. Cóż znaczy te 1300 kilometrów dla ludzi co przebyli 40.000?

Patrzą na generała Sikorskiego oczy żołnierzy, co przedtem na niejedno niebezpieczeństwo straszliwe — na śmierć samą patrzały zimno. Ale tym razem w oczach tych widać łzy. Tak — mości panowie politycy z londyńskich barów i kawiarni — łzy! Prawdziwe, żołnierskie łzy! To nie frazes literacki, nie tani efekt . . Łzy — żołnierskie łzy, jak perły bezcenne, szlachetne, piękne i dla Was — "zjadaczy chleba" niezrozumiałe. Jako żywo przypominają się słowa Sienkiewicza: . . . "stanęli w pół nawy z rękoma na szablach i tylko łzy obficie spływają im na wąsiska."

Przegląd skończony. Pękają szeregi. Żołnierze kołem otaczają Generała. Jakże długo czekali na tę chwilę . . . Dowiedzieli się o nim i o jego rządzie w niewoli, za drutami. Dowiedzieli — czasem z ośmieszających go karykatur we wrogiej Polsce prasie, czasem, ot tak, jakąś tajemniczą, nikomu nieznaną drogą, którą krzepiące wieści, wbrew strażnikom i ryglom, przenikały do obozów. I oto teraz dopłynęli i stoją przed nim, rozmawiając z tą niegdyś legendarnie-symboliczną postacią, jak ze zwykłym człowiekiem . . . Ile szczęścia i nadziei było dnia tego w żołnierskich sercach — tego nie potrafi oddać wiernie najlepsze pióro.

I naraz samorzutnie, z głębi tłumu skupionego wokół Generała, zaczyna rozbrzmiewać pieśń. Zrazu cicho, potem głośniej, aż wreszcie podchwytują ją wszyscy, nie wyłączając stojących skromnie na uboczu oficerów. Brzmi ta pieśń, skomponowana na tyfusowych piaskach Turkestanu, brzmi teraz w Szkocji, jak niegdyś brzmiał we Włoszech Mazurek Dąbrowskiego:

"Marsz, marsz prowadź nas
Sikorski,
z ziemi obcej do ukochanej Polski,
z białego orła znamieniem
na zwycięski nas prowadź bój!"

PICCADILLY

Ulicą idzie policjant, niosąc na ramieniu małego kotka, który widać zabłąkał się w powodzi samochodów i przechodniów. Starsza pani karmi łabędzie w Regent's Parku. Na Round Pond dorośli pospołu z dziećmi puszczają miniaturowe yachty na szklistej tafli stawu — z powagą godną dyrektora stoczni, wypróbowującego model "Queen Mary." Kilka roześmianych "Waafek" maszeruje ku niedalekiemu balonowi, śpiewając "*Roll out the barrel.*" Obok zbombardowanego domu, sklep z napisem: "*Business as usual.*"

Brytyjski zmysł humoru zwyciężył w bitwie o Anglię na równi z samolotami i okrętami. Mimo woli myśli się: — Oni nigdy nie przegrają żadnej wojny. Kraj, który ma najpotężniejszą flotę świata i w czwartym roku zmagań nie wprowadził jeszcze kartek na chleb /i to biały/ — przegrać nie może. Wystarczy na nich popatrzeć, z jakim nabożeństwem, gwiżdżąc na okręty podwodne i samoloty, piją swoje "*afternoon tea.*" Gdyby Hitler mógł spędzić choć jedno popołudnie w Londynie — straciłby ostatecznie wiarę w zwycięstwo i czym prędzej poprosił o pokój.

To co zastaliśmy w Anglii — przeszło wszelkie oczekiwania . . . Stało się poniekąd gwarancją zwycięstwa. Przejechaliśmy tyle krajów, widzieliśmy tyle nędzy, biedy i ograniczeń, chorób, kłopotów wojennych . . . A tu — o kilkadziesiąt nieraz kilometrów od lotnisk i baterii nieprzyjaciela życie kwitnie i kipi, ludzie żyją, pracują, bawią się, odbudowują zrujnowane "blitzem" domy, i . . . nie przejmują się! Stare tradycje brytyjskie pozostają nienaruszone nawet wówczas, gdy wyją syreny i bomby lecą z obłoków. Niedawno ktoś złośliwy powiedział, że Tobruk został swego czasu zdobyty przez Niemców tylko dlatego, że atak miał miejsce w sobotę po południu */week-end/*, kiedy to każdy solidny Anglik musi wypocząć; to naruszenie angielskiej soboty nie było ze strony Niemców "fair" — o nie!

Ponad sto tysięcy ludzi zginęło lub odniosło ciężkie rany w czasie nalotów nieprzyjaciela. A przecież daremnie by szukać śladów paniki, rozpaczy, rozgoryczenia, przemęczenia nerwowego. Angielska flegma i zmysł humoru zwyciężają Hitlera na równi z brytyjską Marynarką. Bo — jasne, że gdyby nie Marynarka, to bitwa o Anglię toczyłaby się nie w powietrzu czy w koloniach, ale tu — na terytorium brytyjskim — z potężnym niemieckim desantem. I jeśli dziś Londyn wre życiem o sto kilometrów od nieprzyjaciela, to dlatego, że między stolicą a wybrzeżem Francji jest 35 km słonej wody, na której czuwa *Home Fleet.*

Nad flotą czuwa z kolei w górze R.A.F. — przenoszący coraz silniej i coraz dalej swe płomienne skrzydła nad miasta i wsie wroga. Zaś zarówno wśród eskadr floty, jak i wśród eskadr lotnictwa, polskie barwy są na jednym z pierwszych miejsc.

Na Piccadilly duży ruch. Dużo żołnierzy wszelkich narodowości, dużo pięknych kobiet, dużo samochodów. Ale tuż obok ruiny kościoła, lufa działa przeciwlotniczego czy sylwetka balonu — świadczą, że to jednak wojna. I że naród brytyjski, jakkolwiekby było, spłaca sumiennie i obficie daninę potu, krwi i łez — jak mówił Churchill.

* * *

W czasie ubiegłej wojny byli ludzie małego ducha, co nie wierzyli w wyzwolenie Polski, bo i jakże . . . Zwycięskie Niemcy nie przywróciłyby jej nigdy, zwycięska Francja ustąpiłaby wobec żądań sprzymierzonej Rosji! Więc martwili się ci pesymiści, że Polski nie będzie, bo duch ich nie sięgał ponad wymiar "szkiełka i oka."

Samo życie kłam im zadało. Wyrzeźbiona bagnetem swego żołnierza — Polska zmartwychwstała. Zmartwychwstanie i teraz, bez względu na koniunkturę polityczną, bo nie wykreśla się z mapy świata 43-milionowego narodu.

Wiedzieli o tym dobrze żołnierze polscy w obozach jeńców, gdy im mówiono, że Polska "zginęła na zawsze." Oni wierzyli i mieli rację. Wiary tej nic im odebrać nie zdołało — i nie zdoła nigdy.

NA ZAKOŃCZENIE — BAJKA

Rozpoczęliśmy to opowiadanie od bajki. Zakończymy je również bajką. Bajką, co powstała właśnie w Bagdadzie, który przez dziwne zrządzenie losu, ze stolicy "Tysiąca i jednej nocy," stał się etapem na drodze polskiego żołnierza.

"Stary Arab jechał do miasta na ośle. Obok niego dreptał syn. Przechodnie zaczęli sarkać: Cóż to za nieludzki starzec, sam jedzie, a dziecku każe biec piechotą.

Arab zlazł z osiołka i posadził nań syna. Przechodnie zawołali: Starzec brnie w piachu, a chłopiec wygodnie sobie jedzie! Obraza boska.

Arab wówczas siadł na osła wraz ze synem. Tłum zawył: Barbarzyńcy, zamęczą biedne zwierzę!

Arab zsiadł wraz z synem i poprowadził osła za uzdę. Tłum zaśmiał się szyderczo. Idioci, mają osła i idą piechotą."

Bajka ta jest ogromnie aktualna dla niektórych Polaków w Anglii. Przynajmniej nam, przybyłym z Rosji, tak się wydaje. Bo i jakże:

Jeśli wojsko polskie się bije, to niektórzy panowie wołają w niebogłosy: "Poco przedwcześnie przelewa się krew polską?" — Jeśli się nie bije — to mówią: "Dlaczego wojsko nic nie robi i rozleniwia się?"

Jeśli któryś z wybitniejszych przedstawicieli rządu wyjeżdża na Wschód lub gdzieindziej, to się woła, że to niepotrzebne i kosztowne. Jeśli pozostaje w Londynie, to krytykuje go się, że nie dba o swoje obowiązki.

Jeśli Anglicy mają zwyczaj śpiewania "GOD SAVE THE KING" na dancingu, to ma to być dowód braku powagi narodowej. Ale jeśli w Anglii nie ma zwyczaju palenia przy jedzeniu — to to ma być dowodem przesadnego i staroświeckiego krępowania obyczajów.

Pan X. — dostawał do tej pory £12 zapomogi i pomstował na darmozjadów-urzędników co, nic nie robiąc, pobierają ministerialne płace. Dziś pan X. dostał posadę urzędniczą za £45 i narzeka, że pobiera zbyt mało, a roboty ma zbyt wiele.

A równocześnie lotnicy polscy latają nad Niemcami, marynarze polscy pływają po morzach, żołnierze wojska gotują się do czynu i nikt się z nich nie pyta, ile mu za to zapłacą. Przeciwnie — oni sami płacą . . . życiem!

I dlatego niektórym, nadto krytycznie usposobionym rodakom, zdałoby się odbyć podróż powrotną: od Piccadilly do Wrót Tamerlana.

JIM POKER

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Przez piaski Kara — Kum" druk. w nr. 1. "Śladami Aleksandra" druk. w nr. 6, "Droga do Bagdadu" druk. w nr. 9, "Ku ziemi obiecanej" druk. w nr. 13, "Ziemia święta" druk. w nr. 14, "Pod krzyżem Południa" druk. w nr. 19 "Polski Walczącej" z b.r.

Narodziny polskiej "Parady"

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Kair, w kwietniu

Narodziny polskiej "Parady," najmłodszego dziecka licznej już dziś rodziny naszej prasy emigracyjnej Środkowego Wschodu, nie odbyło się bez poważnych trudności. Początek całej sprawy sięga wielu miesięcy wstecz. Znalazł się w Wydziale Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie niepoprawny fantasta i marzyciel, podporucznik Józef Z., który pewnego pięknego dnia powiedział sobie: —"Wojsko polskie na Śr. Wschodzie musi mieć periodyk ilustrowany w rodzaju "Światowida." Mają Anglicy "Paradę," mają Grecy "Aera," dlaczegóż my, Polacy, którzy reprezentujemy dziś w tej części świata siłę tak poważną, nie mamy mieć naszej ilustracji?"

Dobrzy ludzie, którzy słyszeli lub odgadli słowa podporucznika zdębieli.—"Czy on tak na serio?" —"Co mu się właściwie stało?" —oto były komentarze, które najczęściej się słyszało. Ale ppor. Z. nie dał za wygraną. Pozyskał dla swej myśli jeszcze paru fantastów w mundurach, w osobach rotmistrza Józefa Cz., podporucznika Władysława C. /Ślązaka z Gdyni/ i zabrał się do urzeczywistnienia swego projektu.

Największym zagadnieniem było, kto właściwie ma dać środki i ramy organizacyjne, drukarnię i papier na takie wydawnictwo, którego stworzenie nawet w czasach pokojowych jest rzeczą niezmiernie trudną. A nasi projektodawcy odparli na to spokojnie: — "Anglicy." — "Dobrze" — powiedziano im, choć uśmiechano się pobłażliwie po kątach.—"Gdzie jednak drukować będziecie taki periodyk? Na pustyni?" — "Bynajmniej" — odparli — "w Kairze." I tu już wszystkim dech zaparło.

Trzeba jeszcze podkreślić, że ani rtm. Cz., ani ppor. Z., ani ppor. C. nie są wcale dziennikarzami. Zawodowi malkontenci i pesymiści, których w armii naszej jest sporo, jak wszędzie zresztą na świecie, mieli jednak cichą nadzieję, że ten szaleńczy projekt storpedowany zostanie przez zawodowych dziennikarzy z Armii. Ale i te nadzieje zawiodły. Gdy dziennikarze (których jest również sporo w Armii Polskiej na Wschodzie) dowiedzieli się, co w trawie piszczy, zawyły w nich z zachwytu dziennikarskie dusze. I roboty przygotowawcze ruszyły z kopyta.

Gdy projektodawcy, uzyskawszy zgodę generała Andersa, udali się wreszcie do Kairu, aby tam rozmawiać z Anglikami, nikt, poza paru zawodowymi marzycielami, nie wierzył w powodzenie ich misji. Naszym polskim, odwiecznym zwyczajem kiwano tylko pobłażliwie głowami i mówiono: —"Też niedowarzony pomysł . . . A Anglicy, ludzie, którzy mało mówią, lecz na ogół doskonale rozumieją potrzeby przyjaciół, pomyśleli trochę i powiedzieli— "Tak." Pojechano do Kairu jeszcze raz czy dwa razy, porozmawiano, ustalono szczegóły i postanowiono, że w ramach brytyjskiej "*Public Relations*" Środkowego Wschodu, wydającej angielską "*Parade*," "*Revue of World-press*," "*Gen*" i grecką "*Aera*," stworzony zostanie polski periodyk ilustrowany "*Parada*." I to jaki periodyk . . . Szesnaście do dwudziestu kolumn co dwa tygodnie, druk rotograwurowy i cały naprawdę duży aparat angielskiej "*Parade*" do dyspozycji.

Tak zrodziła się polska "Parada," a wraz z nią kairska placówka Wydziału Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie. Tak oto znalazła się w Kairze, trzeciej obecnie stolicy świata alianckiego, ekipa redakcyjna polskiego dwutygodnika ilustrowanego. Kierownictwo jej objął jeden z projektodawców, ppor. C. W skład jej weszli trzej dziennikarze zawodowi: Juliusz M. z Krakowa oraz Roman F. i Jan O.N. z Warszawy, a prócz tego matematyk, doktór uniwersytetu w Cambridge, Stanisław S., młody artysta-malarz Edward M., personel kancelaryjny i trzech zecerów.

Przeszkody i trudności nie skończyły się jednak bynajmniej z chwilą przyjazdu ekipy na miejsce. Właściwie, zaczęły się raczej dopiero, tylko — z innego końca. Naprzód trzeba było urządzić cały polski dział autonomiczny drukarni rotograwurowej, w której "Parada" miała być drukowana. Aby to zrobić, należało specjalnie zamówić czcionki z polskimi znakami, kaszty i t.p. Potem trzeba było zapoznać się z całą techniką pracy drukarni. Rotograwura jest specjalnością niezwykle trudną, drukarnia zaś, w której "Parada" jest drukowana, stanowi jeden z największych i najlepiej urządzony zakład tego rodzaju na Śr. Wschodzie. Prócz naszej "Parady," drukują się w niej: tygodnik ilustrowany armii brytyjskiej "*Parade*," ilustracja grecka "*Aera*," wielki tygodnik ilustrowany w języku francuskim "*Images*," dwa tygodniki ilustrowane w języku arabskim i szereg innych periodyków nieilustrowanych. Jednym słowem, ekipa polska nagle, bez żadnego przygotowania przeniesiona została z namiotów na pustyni do światowego warsztatu wytężonej, nowoczesnej pracy wydawniczej.

A jednak, z pomocą Anglików, udało się pokonać wszystkie trudności i oto przed paru dniami ujrzał światło dzienne pierwszy numer polskiej "Parady." Ukazanie się jego było prawdziwym wypadkiem dnia w kairskim świecie dziennikarskim. Wiele już bowiem wydawnictw widział Kair i w wielu różnych językach. Ale polska ilustracja? I to taka? Tak bogata? Nie, tego tu jeszcze, jako żywo, nie było.

Na przyjęciu z okazji wyjścia pierwszego numeru "Parady," wydanym przez redakcję w budynku Biura Oficera Łącznikowego Armii Polskiej na Wschodzie, stawił się, jak to się mówi, "cały Kair." Przyszli szefowie biur propagandy brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej wraz ze swymi współpracownikami. Przybyli redaktorowie naczelni wszystkich prawie wielkich dzienników kairskich i moc różnojęzycznej dziennikarskiej braci. Przyszli dyrektorzy i korespondenci wielkich agencyj prasowych angielskich, amerykańskich i francuskich. Stawili się wreszcie nader licznie oficerowie brytyjscy i amerykańscy. Ze strony polskiej obecni byli: *chargé d'affaires* R.P. Zażuliński wraz z personelem poselstwa, pracownicy tutejszej Placówki Wydziału Informacji i Oświaty Armii oraz wielu oficerów. Ogólnym tematem rozmów był pierwszy numer "Parady," który rozdano gościom na miejscu. Pismo spotkało się z wyrazami ogólnego uznania. Poszły na świat cały telegramy o narodzinach nowej polskiej ilustracji, posypały się artykuły i wzmianki w prasie miejscowej.

Wszystkie wielkie dzienniki kairskie: angielskie, francuskie i arabskie, poświęciły polskiej "Paradzie" gorące słowa powitania, uznania i zachęty. "Parada" była zapowiedziana przez prasę na wiele dni przed swym ukazaniem się. Po wyjściu pierwszego numeru artykuły i wzmianki poświęciły jej m.in.: "*La Bourse Egyptienne*," "*Egyptian Gazette*," "*Egyptian Mail*," "*Le Progrès Egyptian*," "*Le Journal d'Egypte*," "*Parade*," "*Al Ahram*" i in. Wiele dzienników zamieściło fotografię okładki pisma.

"Sądząc z pierwszego numeru pisma" — pisała "*La Bourse Egyptienne*" — "który jest doskonały pod każdym względem i który przedstawia piękny wysiłek z czysto dziennikarskiego punktu widzenia, pismo to będzie wiernym towarzyszem żołnierza polskiego . . . Nadejdzie dzień, i bodaj był jak najbliższy — że ta interesująca publikacja ilustrowana towarzyszyć będzie oswobodzicielom Polski. Po wojnie zaś "Parada" będzie mogła zająć należne jej miejsce w Warszawie, aby podtrzymywać tam przyjaźń i braterstwo broni między Polakami i Narodami Zjednoczonymi, braterstwo scementowane przez wspólnie przelaną krew, w drodze do zwycięstwa nad wspólnym wrogiem."

"*Le Progrès Egyptien*" poświęcił "Paradzie" artykuł wstępny pióra naczelnego redaktora pisma, p. Dardaud. "Czasopismo to" — czytamy tam — "zamierza utrzymywać więź między poszczególnymi skupiskami Polaków, rozrzuconymi przez wojnę po tak różnych krajach, jak Indie, Iran, Irak, Syria, Palestyna, Egipt, Kenia, Uganda i t.d. We wszystkich tych krajach są dziś Polacy i Polki, pracujący z całych sił nad uwolnieniem swego kraju i dla wspólnego dobra Narodów Zjednoczonych. Pismo to będzie również organem młodych Polaków, dzieci, które wyrosły zdala od kraju i domu rodzinnego, w obozach koncentracyjnych i w straszliwej nędzy, jaka była udziałem Polaków w Rosji, przed ich powrotem do walki na Bliskim Wschodzie."

Obecnie polska "Parada" weszła już na tory zwykłej, codziennej, wytężonej pracy. Dotarła do armii, do polskiej ludności cywilnej w Palestynie, Iranie i Afryce wschodniej, stała się częścią składową jej pokarmu duchowego i obrazkowym przewodnikiem po świecie. Przyjęcie jej w kołach polskich było na ogół gorące. Nie nam sądzić o jej wartości i jej brakach. Niechaj uczynią to inni.

ROMAN FAJANS

Żołnierz w polu czyta gazetę . . .

Kto z żołnierzy polskich potrafiłby zaraz, z pamięci wyliczyć wszystkie czasopisma, których był czytelnikiem od czasu opuszczenia Kraju po Wrześniu? Pism tych powstawały dziesiątki. Żywot ich był nieraz krótki; spełniały one jednak zawsze ważną rolę. Dawały one — wśród obcych — wiadomości w języku ojczystym o tym, co się dzieje w świecie oraz wywierały nieraz niezwykle doniosły wpływ na podtrzymanie nastrojów. Podnosiły nadzieję, pobudzały wiarę w niejednej ciężkiej chwili, zagrzewały do dalszej, wytrwałej walki.

Ale nie tylko żołnierz-tułacz potrzebuje swego, żołnierskiego pisma. Każdy żołnierz oprócz karabinu i kuchni, oprócz podoficera gospodarczego czy lekarza potrzebuje także rozrywki — a przede wszystkim właśnie wiadomości, informacyj o tym, co się dzieje. Sprawy te rozumiane są dobrze w wojsku brytyjskim. Wzorem pod tym względem jest Ósma Armia. Czytaliśmy niedawno w "*Times'ie*," że wyświetlano dla żołnierzy Montgomery'go, w chwilach odpoczynku po walce, najnowsze filmy, które grano w tym samym czasie w londyńskim West End'zie.

Wojsko lądowe, kopciuszek brytyjskich sił zbrojnych przed obecną wojną, stało się dzisiaj wzorem dla innych wojsk. Brytyjczycy z wielką systematycznością budowali i budują ze swego wojska lądowego pierwszorzędne pod każdym względem narzędzie wojny. Każda dziedzina jest u nich próbowana, doświadczana, doskonalona.

Oto leżą przed nami dwa komplety czasopism. Nikt ich nie widział w kioskach ani u rozsprzedawców ulicznych. Nazwy ich: "*The Advance Post*" i "*The Bulldog*." Pisma te wydawane były dla żołnierzy brytyjskich z rozkazu najwyższych władz wojskowych jako pierwsza tego rodzaju próba w czasie wielkich ćwiczeń wojskowych, które odbywały się przed kilku tygodniami w południowej Anglii.*



The Advance Post

Published by the British Army in the Field



Brytyjczycy rozumieją konieczność informowania swego żołnierza o wszystkim właśnie w czasie walki. Gdy wojsko brytyjskie ruszy na Kontynent, znajdzie się ono w obcojęzycznych krajach i poddane będzie niewątpliwie wrogiej propagandzie. Będzie ono musiało mieć wtedy specjalne, własne źródła informacji — własne dzienniki, wydawane "pod ręką," tuż koło linii walk.

Dzienniki "*The Advance Post*" i "*The Bulldog*" wydawane były, jak wspomniałem, tytułem próby, która — o ile mi wiadomo — wypadła doskonale. Pisma zyskały nie tylko pochwały przełożonych, ale i uznanie czytelników, szerokiej rzeszy żołnierskiej. Nakłady wzrastały z dnia na dzień w zawrotnej szybkości; porównując cyfrę nakładu w pierwszym i ostatnim dniu widać, że nakład jednego z pism wzrósł czterokrotnie.

"*The Advance Post*" ukazywał się jako normalny dziennik. Założeniem było, iż udało się zająć kompletną drukarnię z całkowitym jej urządzeniem technicznym i personelem. Pismo ukazywało się codziennie, drukowane w jednej z prowincjonalnych drukarni "gdzieś w Anglii." Posiadało ono najświeższe wiadomości "z pola ćwiczeń": komunikaty, niektóre ogólne rozkazy do żołnierzy, reportaże wojennych korespondentów dzienników londyńskich, koleżeńsko przez nich użyczane na równi z pismami, które sami obsługiwali. Dalej przynosiło artykuły ekspertów, wojskowych i lotniczych, mapki sytuacyjne, pewne wiadomości o nieprzyjacielu, opisy różnych wyczynów indywidualnych oraz fotografie "z walk."

Jednym słowem żołnierz był stale "*au courrant*" przebiegu ćwiczeń mając w gazecie pełny obraz tego, co się dzieje. Również zamieszczano pokrótce ogólne wiadomości polityczno-wojskowe, uzyskiwane za pomocą radia z biuletynów B.B.C. Ponadto pismo zamieszczało szereg praktycznych notatek, czy wezwań, które dyktowały ćwiczenia. I tak n.p. w jednym z numerów czytamy wezwanie, by nie wykupywano towarów w miejscowych składach, bo tym krzywdzi się ludność. W innym znów numerze były uwagi na temat tajemnicy wojskowej i milczenia. W jeszcze innym dowcipnie napisane migawki, w których stwierdzano, że oficerowie tak samo są widoczni dla nieprzyjaciela, jak zwykli szeregowi — a więc "kamuflaż" obowiązuje wszystkich!

W każdym numerze "*The Advance Post*" znajdował się ogólny artykuł o przebiegu wydarzeń drukowany po francusku, dla żołnierzy kanadyjskich, którzy mówią tylko tym językiem. Oto próba zaspokojenia interesów i ciekawości żołnierzy nie mówiących po angielsku. Może się to przydać w przyszłości, gdy w ofensywie na Kontynent wezmą udział obok wojsk brytyjskich także wojska innych Sprzymierzonych.

Drugie pismo "*The Bulldog*" było pismem strony przeciwnej w czasie tych ćwiczeń. Wydawano je na innych założeniach. Wydawcy tego pisma nie mieli zarekwirowanej drukarni i przy ciągłej walce ruchomej skazani byli na warunki polowe, podobne do tych jakie będą w czasie działań na terenie nieprzyjacielskim, gdzie najprawdopodobniej nie będą rozporządzali drukarnią z pełnym wyposażeniem.

Pismo to graficznie nie przedstawiało się tak okazale jak "*The Advance Post*." Wydawane było tym samym sposobem, jak polskie "Co słychać?", ale przyznać trzeba, iż robiło wrażenie schludne i treściowo stało na wysokim poziomie. Mniej może było bogactwa treści, ale pod względem informacyj zaspakajało potrzeby ludzi nawet najciekawszych.

W ostatnim numerze "*The Bulldog*" redaktor opisał krótkie dzieje swego pisma. Nie zawsze było łatwo — pisze on — wydawać ten dziennik. Pierwszy numer wyszedł wprawdzie na czas, przygotowany w wygodnych warunkach w kwaterze głównej armii, lecz z drugim numerem było już trudniej. Kwatera przeniosła się "w pole." Redakcja mieściła się wtedy w jakiejś przepełnionej oficerami sztabu ciasnej chacie, a źródłem wiadomości ze świata było małe przenośne radio. Potem bywało różnie. Czasami jednak szczęście sprzyjało. Tak n.p. było z przypadkowym wynalezieniem karykaturzysty. Gdy pismo rozeszło się wśród oddziałów, zaczęli się znajdować przygodni współpracownicy. I tak dwa piękne wiersze napisali: jeden — oficer sztabowy, a drugi — "*private*" *A.T.S.*

Pewne trudności nastręczał kolportaż pisma, ale i te pokonano. Jak niebezpieczna była rola kolportera świadczy opowiadanie, zamieszczone w jednym z numerów, jak pewnego razu kolporter dostał się "do niewoli," z której jednak zdołał bohatersko uciec. Jeden z numerów "*The Bulldog*" wpadł do rąk "nieprzyjaciela" i "*The Advance Post*" z dumą zamieściło na swych łamach reprodukcję zdobytego pisma nieprzyjacielskiego.

* * *

Gdy żołnierz brytyjski znajdzie się w takich warunkach, że nie będzie mógł kupić codziennego, pojawiającego się regularnie jak słońce na niebie lub mleko przed domem — "*Daily Telegraph'u*" czy innego "*Daily Sketch'u*" będzie miał na miejscu swe pismo żołnierskie.

W wydawaniu czasopism żołnierskich w trudnych warunkach, po prostu z niczego, mają polscy żołnierze wielką wprawę od rumuńskiego "Wiarusa na Obczyźnie" począwszy, poprzez coëtquidańską "Polskę Walczącą," palestyńskie "Ku Wolnej Polsce" czy rosyjskie "W marszu," aż po szkockie "Nowiny." Polscy żołnierze wydawali także czasopismo w czasie boju — "Przy kierownicy w Tobruku," powielane niejednokrotnie na zdobycznym papierze włoskim.

Pisma te wydawane były przeważnie przez dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia, dzięki zrozumieniu i poparciu dowódców wojskowych. Trzeba mieć nadzieję, że te wszystkie doświadczenia, zdobyte przez lata tułaczki nie pójdą na marne i znajdą swój wyraz w organizacji Wojska Polskiego, która stworzy etatową instytucję: polową prasę żołnierską.

WITOLD LEITGEBER

* Zob. Dominik Szczerbic: "Manewry wiosenne," druk. w nr. 13 "Polski Walczącej" z b.r.



Bez black-outu

Aktualność tygodniowa pęcznieje i narasta, zagrażając ramom normalnego felietonu.

Z okazji dni "Wings for Victory" Lord Provost Edinburgha celebruje uroczystość w centrum miasta z udziałem barwnych tłumów publiczności. W chwili najbardziej podniosłej orkiestra szkocka gra . . . "O sole mio." Na trybunie, wśród honorowych gości nie brak polskich reprezentantów.

W parę minut później na wolnych mównicach przed National Gallery /edynburskie trybuny w stylu Hyde Parku/ ktoś w rozchełstanej koszuli zapytuje gromko: "Dlaczego tyle Polaków kręci się u nas w Szkocji? Czemu nie idą na front?" Na podium gramoli się inny mówca, który z kolei zapytuje dramatycznie, czy zebrany "people" zdaje sobie sprawę, czym grozi komunizm: jednostce, zbiorowości, rodzinie, ustalonym prawom i obyczajom? W tłumie ludziska gryzą "chipsy" i od czasu do czasu pierwszego jak i drugiego mówcę reflektują rzeczową uwagą: "Hey, that's only your opinion!"

W parę godzin później Polacy w Szkocji i Anglii zbierają gratulacje za ogłoszony nareszcie w prasie brytyjskiej sukces polskich żołnierzy-wynalazców wykrywacza min, znanego obecnie w armii brytyjskiej jako "Polish mine detector." Prasa brytyjska i B.B.C. w audycji: "Into Battle" /dnia 11 maja g .9.25 p.m./ nie tają, że wynalazek ten stał się jednym z podstawowych środków, które ułatwiły osiągnięcie zwycięstwa w Afryce w tej skali i w tym tempie.

"It was to a great extent due to this "home-made" mine detector — czytamy — that the Eighth Army was able to advance successfully from Alamein to Tunisia, getting safely through the scores of minefields laid by the enemy . . ."

Audycja B.B.C. obrazowała początkową bezradność w unieszkodliwianiu pól minowych w Afryce i małą skuteczność stosowanych środków aż do tej chwili, gdy w biurze Ministerstwa Wojny zadźwięczał telefon ze Szkocji o dokonanym przez dwóch Polaków wynalazku. Prasa brytyjska podaje nazwiska tych zasłużonych Polaków: podporucznik Józef Kos i sierżant Adam Garb. Myślę, że nie będziemy i my z naszej strony zbyt skromni lub zbyt . . . leniwi i należycie "rozinformujemy" oraz odpowiednio udokumentujemy sławę i wartość polskiego wynalazku. Szczególnie chwila obecna wydaje się bardzo odpowiednia do rozszerzenia tego typu wiadomości o działalności i możliwościach Polaków w . . . Wielkiej Brytanii.

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się o nowej "polskiej dywizji," utworzonej na terenie Rosji Sowieckiej, z niejakim Berlingiem na czele, pod "wysokim" protektoratem Wandy Wasilewskiej-Kornijczuk. I znów zbieraliśmy gratulacje od . . . niektórych Szkotów niebardzo zorientowanych w sytuacji, którzy wyrażali wielką radość z powodu tak szczęśliwego zakończenia sporu polsko-sowieckiego.

Ale i o tym zapomnieliśmy nazajutrz, ciesząc się wiadomością, otrzymaną z Afryki, o poważnym dorobku naszego dywizjonu myśliwskiego, który pod dowództwem majora Skalskiego brał udział w walkach w Tunisie. W ciągu 50 dni walki odnieśli oni 25 zatwierdzonych zwycięstw w powietrzu. Ekipa polska w Tunisie powstała z asów naszych dywizjonów, stacjonowanych w Wielkiej Brytanii.

Ten majowy tydzień przypomniał staropolską gadkę o kwietniu, który "wciąż przeplata — trochę zimy trochę lata." Zagrzał nas wykrywacz min i zwycięstwa lotnicze w Tunisie, zmroziła "dywizja polska" w Rosji. Przeplata się.

Wielce oburzony był przed trzema dniami mój znajomy Szkot Mr. Robertson, że Polska jednak wydała swego Quislinga i z obrzydzeniem wyczytał mi jego nazwisko z "Daily Worker" — Kurt Hoffman. Tak rzeczywiście? Stoi, jak byk, ten "polski Quisling." I to piastowskie polskie imię: Kurt. I to "obszarnicze" nazwisko: Hoffman. Powiedziałem po prostu Mr. Robertsonowi, że "Daily Worker" popełnił plagiat i skomponował nowe "Tales of Hoffmann," czyli nowe "Opowieści Hoffmanna." Quisling polski się nie urodził mimo zabiegów akuszerskich lekarzy spod wiadomego znaku.

Uśmialiśmy się w końcu serdecznie z Mr. Robertsonem, a ja w rewanżu pokazałem mu oficjalne oświadczenie wiceadmirała Kinga, szefa brytyjskich oficerów łącznikowych, który wymienił niedawno ogólną ilość odznaczeń brytyjskich, jakie zdobyli marynarze, podoficerowie i oficerowie Marynarek Sojuszniczych. Zapytałem Mr. Robertsona, czy wie, że na 24 Distinguished Service Orders Polacy otrzymali 11, na 48 Distinguished Service Cross — również 11, a na ogólną liczbę 57 Distinguished Service Medals na Polaków wypada 15? Zapytajcie o to samo, Koledzy, swoich Robertsonów, gdy Was niebacznie zagadną: "Czemu Polaków nie ma na froncie?"

Cyfry i fakty w tej materii powinniśmy powtarzać, przedrukowywać i kolportować uparcie, gdyż to stanowi jedyną odtrutkę na aktualne, nieprzychylne sprawie polskiej "wiatry," które przeciągają nad tą wyspą. Cyfry i fakty stosować należy po "lunchu" lub w czasie "tea," pomału, bez ognia, po łyżeczce stołowej, a w razie potrzeby dawki zwiększać. Nie biadajmy i nie zrażajmy się, ale po prostu rozumujmy po "ichniemu" dyskutując rzeczy bez emocji i wypieków na twarzy, bez nadmiernej gestykulacji, bez podnoszenia tonu. Środek wypróbowany. Przeczyszcza atmosferę. W przerwach takiej argumentacji nie zaszkodzi popykać z fajeczki. Opanowanie, milczenie i fajka — to cechy gentlemana.

Ostatnie dnie tygodnia przyniosły Wielkiej Brytanii wielkiego jeńca, którego traktuje się, jak gentlemana. Z Afryki przyleciał "sam" von Arnim, wielka "fish" niemieckiej armii rozbitej na "chips." Von Arnim — jak się rzekło — traktowany jest na prawach gentlemana, to znaczy: musi . . . mieć dużo pieniędzy. Przyznano mu więc dzienny żołd jeniecki w wysokości . . . 6 funtów /sześć funtów/, aby jako tako pchał to marne życie niewolnika. Zachodzi obawa, że w niedługim czasie Londyn powita co najmniej połowę sztabu Mussoliniego, zachęconą doskonałymi warunkami spędzenia czasu do końca wojny. Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, że ta wojna, jak żadna inna wprowadziła straszliwą rozpiętość w traktowaniu jeńców: od kajdan do . . . 6 funtów dziennie, od brzoskwiń i kompotów np. w Afryce do otwartych lub tajnych morderstw, dokonywanych na jeńcach np. w . . . Japonii.

Gdy pokonany Von Arnim stanął na ziemi brytyjskiej, kończąc w ten sposób niemiecką wyprawę, która miała zapoczątkować podbój świata przez "kleszcze" japońsko-włosko-niemieckie, Mr. Churchill stanął w tym samym czasie przed Kongresem i Senatem Ameryki w Waszyngtonie, zaczynając wielką wyprawę amerykańsko-brytyjską, która będzie niechybnie początkiem końca "Osi." Na Niemcy wali się teraz cios za ciosem. Wydaje się jakby sama Opatrzność płaciła Rzeszy za tyle niewinnie wylanej krwi, za ogrom zbrodni i łotrowstwa.

W tym tygodniu mówiło się popularnie wśród naszych żołnierzy, że "Niemcom zmiękła Ruhra" lub, że po prostu "nalała im się woda do Ruhry," albo znowu, "że Niemcy się zalały ze zmartwienia afrykańskiego." Te aktualne proste dowcipy są wyrazem olbrzymiego wrażenia, jakie wywołało dokonane przez Brytyjczyków w tych dniach, niezwykle precyzyjne i odważne bombardowanie w zagłębiu Ruhry. Powódź, zalewająca Niemcy własną wodą, ma w sobie coś z symbolu.

Jeżeli każdy tydzień będzie tak owocny, tak przeplatany wypadkami jak tydzień ubiegły, aktualność wydarzeń może wyznaczyć nam zgoła inne role, dalekie od zadań prostowania opinii Robertsonów. W takim momencie zbledną i na ostatni plan zejdą nasze obecne "utarczki" z pewną zdezorientowaną częścią opinii brytyjskiej.

A poza tym na razie pamiętajcie: fajka — i niezawodny "Zwischenruf" spod trybuny edynburskiej: "Hey, that's only your opinion."

WIKTOR BUDZYŃSKI

POLSKI HYDE PARK

Jeden wzniósł w górę dłonie i wzrok apostolski
I woła: "Wolność! Z Polską, albo mimo Polski!"

Drugi ręce załamał aż chrupnęły kości,
"Polska!" — krzyczy — "Z wolnością, lub mimo wolności!"

I jakże mi wybierać pomiędzy obiema,
Gdy zawsze śmierć wybiorę — innej rady nie ma.

Gdy niestety, do życia jednako mi trzeba
I Polski i Wolności — i wody i chleba.

Jeśli muszę umierać, ach, nie ma znaczenia
Jaką śmierć sobie wolę — z głodu, czy z pragnienia?

MARIAN HEMAR

Skrzynka pocztowa

ZBIÓRKA NA POMOC DLA POLAKÓW W ROSJI WINNA BYĆ PODTRZYMANA

Drogi Redaktorze,

Mój list w nr. 16-17 "Polski Walczącej," wzywający do podtrzymania zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji wywołał dwie odpowiedzi, które byłeś mi tak dobry przekazać. Ponieważ sprawa dotyczy zagadnienia społecznego, wciąż aktualnego, niezmiernie ważnego, pozwolisz Redaktorze, że jeszcze zabiorę trochę miejsca w piśmie i odpowiem obu moim "oponentom."

Przed pierwszym "oponentem," Komandorem Stanisławem L., reprezentującym naszą Marynarkę Wojenną, muszę od razu, całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń kapitulować. Istotnie biję się w piersi — *mea culpa* — niesłusznie, mówiąc o ofiarności tutejszej zbiorowości polskiej, pominąłem Marynarkę, która, jak to słusznie podkreśla p. Stanisław L. na samo konto "Polski Walczącej" wpłaciła sumę f u n t ó w t y s i ą c t r z y s t a s i e d e m d z i e s i ą t. Wiemy zaś dobrze, że poza tą ofiarą Marynarki Wojennej poważne kwoty zostały również złożone przez Marynarkę Handlową. To też uważam za uzasadnione pytanie, którym kończy się list komandora L.: "ciekaw jestem, do jakiej kwoty wzrósłby Fundusz, gdyby wszyscy wpłacali tyle, co i my?"

Nie mam nic na swe usprawiedliwienie w tym względzie, jak chyba to, że na stacjach lotniczych widziałem nieraz entuzjazm w kierunku zbiórek i ten fakt wraził mi się tak silnie w pamięć, że uwypukliłem go w pośpiesznie pisanym liście. Marynarzy otaczanych tajemnicą, tak rzadko widujemy niestety, choć doskonale sobie wszyscy zdajemy sprawę nawet na podstawie tych skąpych wiadomości, jakie się o nich ukazują w prasie, że dokonali poza poważnym wysiłkiem wojennym jeszcze jednej rzeczy niezmiernie cennej: przekonali Brytyjczyków, że Polacy i w dziedzinie morskiej są czynnikiem znaczącym.

Nie mogę się natomiast zgodzić z moim drugim "oponentem," Kapitanem J. K. Pyta on: "jaką drogą i jak dochodzi pomoc dla Polaków w Rosji, czy jest to pomoc dla Polaków w Rosji dosłownie, czy dla wyewakuowanych z Z.S.R.R., czy dary te dochodzą, czy mają znaczenie tylko symboliczne"?

Ogłaszane kilkakrotnie w całej prasie polskiej komunikaty Polskiego Czerwonego Krzyża dają jasną odpowiedź na pytanie Kapitana J.K. Wskazywały one jasno i niedwuznacznie, że pieniądze zebrane przez Polaków w Wielkiej Brytanii, podobnie jak i składki Polaków w Stanach Zjednoczonych były obracane na zakup środków żywnościowych, odzieży i lekarstw dla Polaków w Rosji. Wiemy także, że zakupywane w Południowej Afryce i gdzie indziej produkty po długiej, wielomiesięcznej podróży dotarły do wielu ośrodków ludności polskiej w Rosji, będąc dla niej nie tylko wsparciem materialnym, ale także źródłem jakże potrzebnego jej pokrzepienia i otuchy moralnej.

Dziś, z chwilą zerwania przez rząd sowiecki stosunków dyplomatycznych z Polską rzecz jasna, że wszelka pomoc chwilowo ustała. Nie jest to jednak żaden argument przemawiający za zawieszeniem tej zbiórki, raczej przeciwnie j e s t t o a r g u m e n t z a j e j p o d t r z y m a n i e m i r o z s z e r z e n i e m. Jak słusznie piszą przedstawiciele "Komisji Wykonawczej Zebrania Przedstawicieli Pracowników Państwowych w Londynie": "Nie wolno nam zaniechać pomocy dla rodaków naszych w Rosji tak ze względów politycznych, jak moralnych i ludzkich, chociażby tylko część naszych ofiar dostała się do miejsca przeznaczenia. Jeżeli nie dojdą nasze dary tam, gdzie są najbardziej potrzebne, t.zn. do 90,000 dzieci polskich w Rosji /w tym 30,000 sierot/, to Komisja przeznaczy złożone pieniądze po odwołaniu się do decyzji ofiarodawców albo na pomoc dla jeńców wojennych albo dla 7,000 sierot polskich rozsianych na Bliskim Wschodzie."

Jest to głos rozumny, słuszny, czujący. W chwili, gdy jesteśmy pod huraganowym obstrzałem propagandy sowieckiej, gdy rząd nasz wysunął nie tylko wobec rządów, ale wobec opinii publicznej całego świata, sprawę pozostałych w Rosji Polaków, powinniśmy poprzez wzmożoną akcję zbiórkową dać wyraz naszemu głębokiemu przekonaniu i naszej zasadzie, że z ludności polskiej w Rosji nie rezygnujemy w tej chwili i nie zrezygnujemy nigdy. Zbieramy pieniądze na moment, gdy otworzą się znów możliwości dostarczenia pomocy. A wierzymy, że się muszą otworzyć.

Czytelnicy "Polski Walczącej," zwłaszcza ci ofiarodawcy z nr. 19, dali zresztą intuicyjnie najlepszą odpowiedź Kapitanowi J.K., kiedy podkreślili w swych listach, że w tej chwili "ofiarują pomoc dla dzieci polskich znajdujących się w Rosji lub gdzieindziej na szlakach polskiej tułaczki." To jest głos rozumu i serca. Rozum i serce nakazują, by podtrzymać zbiórkę na Polaków w Rosji lub dla tych, którzy z Rosji się wydostali i dziś znajdują się na jakże rozciągniętych i wydłużonych drogach tułactwa polskiego od Iranu do Tanganiki, od Indii do Meksyku.

Rubryka: "Pomoc dla Polaków w Rosji," która zjawiła się w tym piśmie żołnierskim najwcześniej, która należy już do jego fizjognomii — nie powinna zmaleć, nie powinna zniknąć. Powinna dotrwać aż do chwili, w której połączymy się z Polakami z Rosji w oswobodzonym Kraju.

Ryszard Malski

WPROWADŹMY KSIĄŻKI O POLSCE DO BIBLIOTEK PUBLICZNYCH

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na łamach pańskiego tak bardzo poczytnego tygodnika, ukazał się swego czasu apel p. Żurowskiego "O książkę polską dla żołnierza na Wschodzie." Apel ten dał dotychczas bardzo poważne rezultaty i książki stale napływają nieprzerwanym strumieniem. Jednak oprócz wschodniego frontu książkowego, istnieje jeszcze inny front nie mniej ważny, a może nawet jeszcze ważniejszy — front zachodni w Wielkiej Brytanii.

Niech każdy, kto nie wierzy, przekona się sam i spróbuje poszukać w bibliotece publicznej miejscowości, w której kwateruje jego oddział, czy znajdzie książkę polską lub książkę angielską o Polsce i ile. Napewno niewiele i na sto wypadków dziewięćdziesiąt odpowiedzi będzie: "nie."

A przecież bez przesady mamy poważny zasób książek wydanych po angielsku i dużo naszych przyjaciół otrzymało je od nas w prezencie, tak wiele, że przeważna część tych wydawnictw została kompletnie wyczerpana. Jest to chwalebne i jest to bardzo trafny wybór prezentu i godny naśladowania, jednak poza osobą, która otrzymała daną książkę niewiele osób ma do niej dostęp. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego, znamy charakter naszych gospodarzy, poza tym my sami przecież mamy przywilej /i obowiązek/ propagowania naszej sprawy za granicą, nie zaś obcy.

Popyt na książki "souveniry" wpłynął na wyczerpanie nakładów i tym częściowo można tłumaczyć ich brak w bibliotekach publicznych, ale to jest błąd zaległy, na którego odrobienie zostało niewiele czasu.

Zanim opuścimy gościnne nasze garnizony, zostawmy po sobie kulturalną pamiątkę, w postaci książki polskiej. Niech pozostaną nie tylko wspomnienia "Perthkie" ale i słowo drukowane. Ma ono znacznie większą moc, niż nasze opowiadania o Polsce przy kominku w te "szkockie deszczowe dnie." Są one nieraz trochę sprzeczne, pomiędzy tylko dwoma rodakami. I Johnowi czy Jimowi jest trudno dociec prawdy, więc tu mu przyjdzie z pomocą książka kpt. Swicza "Poland still unknown."

Epopea okrętu podwodnego "Orzeł" ma dwa piękne wydania po angielsku, które łatwo przekonać mogą niedowierzającego Tommy'ego namacalnie o dzielności naszej marynarki. "Squadron 303" Fiedlera zobrazuje mu walkę polskiego lotnictwa myśliwskiego w bitwie o W. Brytanię. Niedawno wyszło tłumaczenie "Wiernej rzeki" Żeromskiego, jest "Quo Vadis" i tyle innych książek wartościowych. Broń Boże, nie należy kupować książki "The Governor of Kattowitz." Jest to skandalicznie fałszywy opis powstania śląskiego w formie powieści sensacyjnej, autor nie ma najmniejszego pojęcia o Polakach a tym bardziej o powstaniu śląskim. Mam wrażenie, że autor-podpułkownik angielski, opisał powstanie na podstawie opowiadań swych przyjaciół niemieckich.

Bardzo gorąco apelowałbym o nieżałowanie nawet 10 szylingów na książkę polską, która pozostanie tu po nas jako dokument naszego pobytu, dostępny szerszym masom tak gościnnych gospodarzy. W żadnej bibliotece publicznej nie powinno zabraknąć książki polskiej. Powinna zostać w jak największej ilości, w jak najstaranniejszym, najbardziej pełnym doborze w każdej miejscowości, gdzie kwaterował oddział polski lub gdzie istnieje towarzystwo Anglo-lub Szkocko-Polskie. Może to być akcja zbiorowa pod kierownictwem oficera oświatowego, ale to już będzie zależało od inicjatywy czytelników.

Że książki te będą czytane przytoczyć mogę przykład. W pewnym m.p. żołnierz polski ofiarował trzy książki do biblioteki miejscowej i żadna z książek nie sypia w bibliotece, lecz jest stale w ruchu, co parokrotnie sam stwierdziłem, gdyż ciekawiła mnie poczytność książek o Polsce.

Z poważaniem

Wacław Żychowicz

LIST Z AMERYKI

Wielce Szanowna Redakcjo!

Dziękuję za umieszczenie mojego pierwszego listu oraz bardzo proszę o umieszczenie tych kilku słów, które będą poniżej:

Kochani Polscy Żołnierze! Dziękuję Wam wszystkim, którzy napisali do mnie listy, tak bardzo serdeczne, niestety nie będę w stanie was wszystkich przyjąć, bo chętnych na "wnuka" jest przeszło osiemdziesięciu. Wybaczcie mi, ale to jest ponad moje siły. Wybrałam 15-tu, a następnych dałam ogłosić w Polskich Związkach tutejszych z apelem do Matek Polek, żeby Was przyjęły na swych synów wojennych, oraz kilka Pań starszych, które z wielką chęcią wzięły w opiekę po dwóch Niech Was Bóg ma w swej opiece, bądźcie szczęśliwi i wracajcie jak najprędzej do naszych najdroższych. Ja będę się za Was modlić — "Wasza Babcia."

Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale innego sposobu nie mam, żeby ich zawiadomić, a nie chciałam, żeby na serdeczne słowa Żołnierzy Polskich odpowiedzieć milczeniem a doprawdy proszę zrozumieć, że odpisać wszystkim nie jestem w stanie. Dziękuję z góry za przychylne załatwienie mojej sprawy.

Pozostaję z szacunkiem,

Weronika Jarzyna

1427, St. Matthew Street,
Montreal, Canada.

Pracownicy i świetliczarki Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii składają za miesiąc kwiecień i maj na Polaków w Rosji £12.0.0 /dwanaście funtów/.

* * *

W załączeniu przesyłam dwa money order na łączną kwotę: £56.19.6 oraz jeden dolar Ameryki Północnej i 50 centów A.P. w srebrze na pomoc Rodakom i ich dzieciom w Rosji.

Kwota ta została zebrana w czasie pierwszych kilkunastu przedstawień widowiska scenicznego p.t. "Na dobranoc Berlin na dzieńdobry Kiel."

Lotnicza Czołówka Teatralna

* * *

P. Rudnicki ofiarował na pomoc Polakom w Rosji nieprzyjęte honorarium w kwocie £1.0.0.

* * *

W załączeniu przesyłam czek wartości £2.10.0 na pomoc polskim dzieciom w Rosji.

Ks. A. Żyłka T.J.
Kapl. W.P.

* * *

Zamiast kwiatów w dniu imienin p. Zofii Bobińskiej przesyłam M.O. na £1.0.0 z przeznaczeniem na dzieci polskie w Rosji. *Witold Bob.*

* * *

Zebrane na majowym nabożeństwie w Kom. San. i P.S.O., oraz otrzymane od żołnierzy, jako stypendia mszalne £1.15.8 na dzieci biedne z Rosji ofiaruje.

Ks. A. Warakomski

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £75.5.2 /słownie siedemdziesiąt pięć funtów, pięć szylingów i dwa pensy/ oraz dol. am. 4.50 przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,833

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,833.12.9 /słownie: osiem tysięcy osiemset trzydzieści trzy funty, dwanaście szylingów i dziewięć pensów/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 5 i pół dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Zamiast pożegnania ppłk. dypl. Mn. A. odchodzącego na inne stanowisko, składają na papierosy dla jeńców—żołnierzy polskich w Niemczech, kwotę £5.15.0.

Koledzy

* * *

. . . Pluton . . . Kompanii Saperów składa na Fundusz Pomocy Jeńcom polskim w obozach niemieckich kwotę £18.0.0 /słownie osiemnaście funtów/.

Kwota powyższa przeznaczona była pierwotnie na zakupienie odbiornika radiowego.

Oficer Oświatowy
pchr. J.O.B.

* * *

Złożona jako ofiara na mszę św. przez Mr. and Mrs. Reekie £1.10.0 na jeńców polskich w Niemczech przesyłam.

Ks. Warakomski

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Władysława Żuka st. sierż. saperów zmarłego dnia 1 maja 1943 . . . Kompania Saperów . . . Dyw. Grenad. składa kwotę £5.8.6 /słownie pięć funtów osiem szyl. 6d./ na Fundusz Pomocy Jeńcom w obozach niemieckich.

Oficer Oświatowy
J.O.B.

KOMUNIKAT POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

Polski Czerwony Krzyż w Londynie komunikuje że wszystkie dary jak: odzież, bielizna, obuwie — otrzymywane dotychczas, a przeznaczone na pomoc Polakom w Rosji — wysyłał transportami do Z.S.R.R. i na Bliski Wschód, podobnie jak zakupywane leki i opatrunki.

P.C.K. będzie się starał w miarę możności kontynuować wysyłkę, ale uważa za swój obowiązek podać do wiadomości P. T. Ofiarodawców, że, wobec trudności wynikłych ostatnio w transportach do Z.S.R.R. — postanowił dary te na razie segregować i odpowiednio magazynować w składach P.C.K. w Wielkiej Brytanii. Jeżeli zaistnieje w przyszłości możliwość dostarczenia transportów naszym rodakom w Rosji — P.C.K. w pełni z niej skorzysta.

Zarząd Główny P.C.K. zwraca się z apelem do Szanownych Ofiarodawców, którzy nie szczędzili swej pomocy, aby nadal tę akcję utrzymywali na dotychczasowym poziomie.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam posiadane książki z prośbą o przekazanie dla Żołnierzy Polskich na Wschodzie.

Z poważaniem

Stanisława Jaworska

Załączono: 14 egzemplarzy "Bellony." Zygmunt Szyszko Bohusz: "Wrześniowym szlakiem." Stefan Gazeł: "Z morza i portów." H. Sienkiewicz: Potop /t.V./. H. Sienkiewicz: "Quo Vadis." "Antologia poezji współczesnej." James Tevnan and Terence Horsley: "Norway invaded." Antoni Słonimski: "Alarm." Stanisław Wyspiański: "Warszawianka pieśń z roku 1831." Czesław Jeśman: "Północne podróże podhalańskie."

* * *

Przesyłam kilkanaście zeszytów "Readers Digest." Jest to miesięcznik bardzo lubiany i popularny wśród Anglików — i nie wątpię, że chętnie będzie czytany przez naszych żołnierzy umiejących po angielsku.

W razie gdyby Pan uważał że jest to lektura nie nadająca się do wysyłki na Wschód — proszę ją przekazać do któregokolwiek szpitala wojskowego.

Z poważaniem

por. T.B.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej"

Załączam przy niniejszym książki dla Polaków na Bliskim Wschodzie darowane mi przez por. Tel. Wol., mianowicie: 1/ "Ziemia gromadzi prochy" i 2/ "Wracamy nad Odrę" oraz 3/ "Zbiór ulubionych śpiewów polskich," 4/ "12 mil do Warszawy," 5/ "Pan Tadeusz," 6/ "Druga księga dżungli."

Z poważaniem

Józef Pietrzycki

W załączeniu przesyłamy got. sumę 8s. 10d. od p. Ant. Zemanka, c/o Mrs. Wilkinson, 54, Caer Saint, Caernarvon, N. Wales, z przeznaczeniem na fundusz zakupu książek dla Oddziałów W.P. na Bliskim Wschodzie.

Za otrzymane pieniądze zakupiliśmy: Z. Nowakowski: Rubikon. — H. Martin: Winston Churchill.

* * *

Polscy pacjenci w S. Sanatorium przesyłają załączone książki z prośbą o skierowanie ich do żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie.

za pacjentów w S.X.

zał. 12 książek i 4 broszurki.

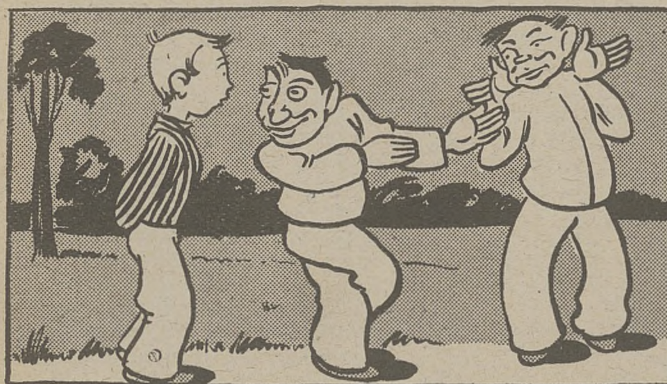
* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1338 książek.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Z wariatami Walenty
Kontakt zawarł wnet szybki,
Ustalili, że teraz
Będą bawić się w rybki.



Jesteś rybką—powiedział
Wariat-król do Walusia,
A mój dwór na kolację
Złapać będzie cię musiał.



Chociaż Pompka nie bardzo
Chciał brać udział w zabawie—
Trzech wariatów przemocą
Zanurzyło go w stawie.



Pływał Waluś po stawie
I był bliski rozpaczy,
Lecz na szczęście król-wariat
Złapał rybkę na haczyk.



No a teraz—król orzekł—
Trzeba rybkę usmażyć,
Zjemy rybkę a potem
Spać będziemy i marzyć.



Nie pozwalam!—rzekł Pompka,
Dosyć mam tej swawoli!
Tylko głupiec i wariat
Smaży ryby bez soli . . .

Zarząd Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie podaje do wiadomości, że biuro zarządu mieści się obecnie przy 12 — 13, Grafton Street, London, W.1. pok. 14, tel. REGent 4200. Biuro czynne jest codziennie od godz. 10 — 1; sekretarz przyjmuje w czwartki od godz. 12 — 1.

SPIS RZECZY:

WARSZTAT NAPRAWY UBRAŃ I BIELIZNY

Z dniem 16 maja r.b. przy Klubie—"The White Eagle, Polish Forces Club," 2, Albert Gate, W.1., otwarty został warsztat naprawy ubrań i bielizny.

Roboty wykonywane — fachowo i szybko.

MIENICKI Michał, P/16, P.F. Scotland poszukuje nast. osób: żona Stefania, ur. 1900, córki: Weronika, ur. 1919, Wanda, ur. 1921, Irena, ur. 1925 i Danuta, ur. 1927. syn: Zbigniew-Henryk, ur. 1923. oraz siostra: Emilia, Maria Wodnicka. Wymienieni pozostali w r. 1939 w Słonimiu, poczem przypuszczalnie zostali wywiezieni do Rosji.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.